

# Klasyka literatury



**e-tekst.pl**  
*twoja czytelnia*

# ZMIERZCH CESARZA

Karol May

# CZARCIE ŹRÓDŁO

Kto chciałby bliżej i dokładniej poznać kulturę agrarną północnego Meksyku, nie może ograniczyć się tylko do zwiedzenia stolicy i jej pięknych okolic. Powinien, kierując się wciąż na północ, przemierzyć rozległe płaskowzgórza, a potem, pokonawszy pasmo górskie Zacatecas, dotrzeć do prerii. Na tym to obszarze, liczącym około dziesięciu tysięcy kilometrów — między Rio Grande del Norte a miastem Chihuahua — panuje niepodzielnie kilkudziesięciu hacjenderów. Każdego — ze względu na wielkość posiadłości, dostatnie życie i niezależność — można by przyrównać do księcia. Dalej na północ — aż do Coahuila na granicy Teksasu — ciągnie się przez tysiące kilometrów biała, słona pustynia, zwana Bolson de Mapimi. Nie ma tam żadnej roślinności ani śladów ludzi czy zwierząt. Gorące powietrze drży nad lśniącymi, gryzącymi w oczy pokładami soli, pomiędzy którymi od czasu do czasu spotyka się koryta rzek, wyschniętych przez większą część roku. Wędrując ich brzegiem, można dojść do jezior, wypełnionych wodą jedynie podczas deszczów; w upalne miesiące przypominają coś w rodzaju lodowisk, składających się z niezliczonych białych płytek, pokrytych kryształami soli. Niektóre rzeczki w lecie podobne do małych, cicho szemrzących strumieni, zmieniają się w porze deszczowej w rwące potoki, niosące ze sobą olbrzymią masę wody. Latem nie ma również lagun, wysychają bowiem zupełnie.

Najbardziej urodzajne tereny północnego Meksyku to koryta wielkich rzek. Gleba tam tak żyzna — czarnoziem — że przy niewielkim nawożeniu kukurydza obradza niezwykle obficie. Jest też w bród świeżej trawy, porastającej płaskowzgórza, toteż bydło nigdy nie zbraknie znakomitego pokarmu. Uprawne pola i pastwiska ciągną się więc kilometrami.

Życie hacjenderów jak gdyby stało w miejscu; od czasów starohiszpańskich prawie nic się w nim nie zmieniło. Odcięci od reszty świata, interesują się wyłącznie własnymi sprawami, nie obchodzi ich ani polityka, ani społeczne problemy kraju.

Kiedys pewien hacjendero tak opisał własne dzieje:

„Życie hacjendera przypomina żywot pustelnika, mimo to ma swój urok i zalety. Hacjenderom brak czasu na rozrywki i zabawy, nie mówiąc już o kontaktach ze światem zewnętrznym, jeśli zważyć, że nawet najbliższa wioska indiańska oddalona jest o pół dnia, i to podłej drogi. Hacjendero to pan i władca swych vaquerów i służby. W żadnym zakątku ziemskiego globu nie ma chyba nikogo, kto cieszyłby się taką niezależnością jak on. Aby radować się tą niezależnością i odczuwać smak twardego, codziennego bytowania — trzeba się tu urodzić i wychować. Życie hacjenderów przyrównać można również do życia średniowiecznych rycerzy. Siedziby ich bowiem niczym warowne zamki są otoczone potężnymi murami z wieżami, mają zwodzone mosty i żelazne bramy. Dawniej była to konieczność, gdyż bardzo często napadały na nie dzikie górskie szczepy indiańskie i porywały kobiety, dzieci bądź bydło. Ale te niebezpieczeństwa minęły bezpowrotnie. Nie znaczy to, że życie toczy się całkiem spokojnie. Niejedną przygodę można jeszcze przeżyć, w dodatku nie zawsze z własnej chęci.

Mieszkanie hacjendera, zwane po hiszpańsku «casa», to obszerny piętrowy budynek o płaskim dachu, zbudowany z kiepskich cegieł i wapna. Mimo to dom jest mocny i trwały. Ma zwykle kilka wielkich zakratowanych okien.

Przed domem rozciąga się obszerny dziedziniec; w dzień spotkać tam można cały żywy inwentarz hacjendy: woły, krowy, świnię, kury i osły. Dalej stoją w nieregularnym szeregu zabudowania dla służby — brzydkie, kryte trzcina gliniane chaty vaquerów i robotników sezonowych. Jest to tania siła robocza. Za możliwość korzystania ze sprzętu rolnego i nasion uprawiają oni pańskie pola i oddają połowę swoich własnych plonów.

Życie w hacjendzie budzi się wraz ze świtem. Najpierw wychodzą do roboty wypoczęte i silne muły, prowadzone przez vaquerów. Za nimi urzędnicy, majordomo, caporal vaquerów i escribiente robotników. A także zwykle biegnie przed nimi kilka psów. Dziedziniec pustoszeje, zostaje tylko dozorca i tenedor de libros. Od czasu do czasu zjawia się na ośle jakiś chłop, aby wypożyczyć pług lub inne narzędzie, albo podjeżdża zaprzężony w woły wóz, na który ładuje się worki z mąką. Gdy słońce praży coraz mocniej, praca zostaje przerwana i wszyscy chronią się w chłodnych, ocienionych pomieszczeniach.

Po południu panuje w hacjendzie największe ożywienie. Pan domu wrócił i siedząc przed progiem na ociosanym pniu wydaje polecenia, przyjmuje meldunki i załatwia sprawy poddanych, którzy stoją przed nim pokornie, trzymając kapelusze w rękach. Czasami zajeżdża w cztero lub sześciokonnej kolasie sąsiad hacjendero. Gospodarz wprowadza go do domu wśród wzajemnych ukłonów.

Ulubioną zabawą młodzieży jest ujarzmianie muła. Naprzód związuje się zwierzę i przewraca na ziemię. Kiedy tak leży, wkłada mu się uzdę i wędzidło, a następnie rozwiązuje przednie nogi. Zwierzę może już wstać. Zrywa się po kilku energicznych ruchach. Mimo jego gwałtownego oporu, rzuca mu się na grzbiet pasy i rzemienie, przymocowane do ciężkiej belki leżącej na ziemi. Równocześnie po obu stronach uzdy przywiązuje się sznury, które trzyma dwóch parobków siedzących na koniach. Na koniec rozwiązuje się tylne nogi muła. Rozpoczyna się zabawa. Biorący w niej udział wydają dzikie okrzyki i zwierzę ucieka w szalonym pędzie. Parobcy pilnują, by nie bieгло w nieodpowiednim kierunku.

Duże emocje wywołuje również pierwsze siodłanie młodego źrebaka. Nie przewraca się go na ziemię, tylko zakłada uzdę i mocno przywiązuje do niej jedną z tylnych nóg. Potem jeździec podkrada się z siodłem z lewej strony, chwytając konia za lewe ucho i pochyliwszy mu w dół łeb, drugą ręką zarzuca na grzbiet siodło. Trudno opisać, co się w takiej chwili dzieje ze źrebakiem! Ale człowiek nie ustępuje. Uwolniwszy z więzów nogę zwierzęcia, wskakuje na siodło i pędzi, dokąd go rumak poniesie.

W niedzielę odbywają się wyścigi konne albo zapasy z bawołem. Wrzeszczy się na niego, poszturchuje, a kiedy przestraszony ucieka, kilku mężczyzn pędzi za nim galopem, siedząc na osiodłanych koniach, i stara się chwycić za ogon. Gdy to się uda, zawodnicy ciągną, ile sił w rękach, dopóki zwierzę, wyczerpane szaleńczą gonitwą, nie padnie na wznak...".

Po Camino Real, czyli traktem królewskim, prowadzącym z Sayula przez góry, będące przedłużeniem Sierra de Nayarit, jechali trzej mężczyźni. Widać było, że przebyli bardzo ciężką drogę. Zmęczone i wyczerpane konie szły wolno, potykały się o gń. Zębokie szczeliny i niezliczone kawałki lawy. Wokoło rosły tylko juki o grubych pniach oraz gęste krzaki opopánaco, wznoszące się dwa, trzy metry nad ziemię; jego kwiaty wydzielają cudowny zapach. Ta miła woń stanowiła jedyną pociechę dla jeźdźców, słońce bowiem prażyło piekielnie, a spod kopyt końskich unosiły się tumany kurzu. Nic więc dziwnego, że podróżni mieli markotne twarze i nie odzywali się w ogóle do siebie. Nawet chart, biegnący za nimi ze spuszczonego ogonem, wydawał się smutny i niezadowolony. Gdyby nie doskwierający upał, jeźdźcy i zwierzęta nie odczuwaliby zmęczenia, gdyż wzniesienie było łagodne.

— Święty Jacobo de Comosiella! — mruknął jeden z mężczyzn i zatrzymał konia. — Jeżeli tak dalej pójdzie, nie dogonimy ich przed Manzanillo. Niech diabli porwą ten upał i Camino Real. Ciekaw jestem, jak wyglądają w tym kraju zwyczajne drogi, jeżeli na królewskiej trzęsą się człowiekowi bebechy.

— Nie pomstuj, senior Mindrello — pocieszał Grandepriese. — Jedziemy pomału, prawda, ale

Landola ze swoimi też nie posuwa się szybciej. Do tego brak im żywności. Nie chciałbym być w ich skórze.

— Dziwię się jednak — wtrącił Mariano — że dotychczas ich nie dogoniliśmy. Mają widać żelazne siły. Od dziesięciu dni jesteśmy w drodze i oprócz śladów... nic.

— Nic? Nie bądź pan niesprawiedliwy! Nie zapominaj, że do niedawna nie znaliśmy nawet celu ich podróży. Byliśmy zdani wyłącznie na ślady i aby ich nie zgubić, mogliśmy poruszać się tylko w dzień. Zbiegowie zaś jechali także nocą, a tym samym zyskiwali na czasie. Od kiedy jednak wywnioskowaliśmy dokąd zdążają, zbliżyliśmy się do nich sporo. Dzisiaj rano stwierdziliśmy przecież, że przejeżdżali tędy przed pięcioma godzinami. Idę o zakład, że schwytamy ich jeszcze dziś wieczorem.

— Naprawdę pan tak sądzi? — uradował się Mindrello.

— Jestem tego pewien, o ile oczywiście nie zajdzie coś niespodziewanego — oświadczył traper.

— Biada łotrom! Wybiła ich ostatnia godzina! — krzyknął Mariano i popędził konia.

Jechali odtąd w nieco lepszym nastroju, choć słońce wznosiło się już wysoko, a droga stawała się coraz gorsza. Zdawało się, że każda góra, którą mijali, jest wulkanem. Wszędzie widać było wygasłe kratery i kawałki lawy. Nagle góry jakby się rozstały i oczom jeźdźców ukazała się szeroka dolina z wioską pośrodku. Nieliczne domki, jak również ogrodzenia otaczające mizerne pola kukurydzy, zbudowane były z bloków lawy. Przejeżdżali przez wioskę, ciekawie się rozglądając. W pewnym momencie uwagę ich zwrócił dom, który różnił się od innych; nad wejściem wisiała tablica z napisem wykonanym pastą do butów: HOTEL DOLORES, co po hiszpańsku oznacza nie tylko imię kobiece, ale i boleść. Właściciel był widać kpiarzem, bo nie mógł wymyślić lepszej nazwy dla tej obskurnej chałupy!

Ponieważ skwar z nieba dał się jeźdźcom mocno we znaki, postanowili odpocząć. Ledwo zatrzymali się przed „hotelem”, a już zjawił się szczupły mężczyzna, ubrany tylko w spodnie, i podejrzliwie popatrzył na nich.

— Buenos dias, senior! — w imieniu wszystkich powitał go Grandeprise. — Czy można dostać coś do jedzenia?

— Dlaczego nie? Jeżeli zapłacicie...

— To się rozumie samo przez się! Chciałbym jeszcze o coś zapytać: czy może byli tu dzisiaj trzej jeźdźcy?

Wyraz twarzy hotelarza stał się jeszcze bardziej nieufny.

— Czy to jacyś wasi znajomi? — burknął.

— Nie, ale od dawna jedziemy ich śladem, chcemy bowiem zamienić z nimi kilka słów. A więc tu byli! I widać nie przypadli panu do serca!

— Niech ich wszyscy diabli porwą! Potraktowali mnie jak psa, grozili, że mnie zabiją, jeżeli natychmiast nie przygotuję posiłku. Podałem, co miałem. A kiedy upomniałem się o zapłatę, wysmiali mnie i odjechali.

ie.. Kiedy to się wydarzyło?

— Przed jakimiś dwiema godzinami.

— Gracias á Dios! — zawołał Mindrello. — Nareszcie ich mamy!

— Niezupełnie — Grandeprise był jak zawsze rzeczowy. — Senior — zwrócił się do hotelarza — w jakim stanie jest droga prowadząca w góry?

— W opłakanym! Pełno tam odłamków lawy i głębokich dziur; można połamać ręce i nogi. Najgorszy jednak odcinek to ten, który prowadzi do Fuente del Diablo.

— Do Czarciego Źródła? Skąd ta nazwa?

— W całej okolicy jest wiele wulkanów. Niektóre wprawdzie wygasły, ale inne są nadal aktywne. Dlatego od czasu do czasu pojawiają się źródła tak gorące, że zaczerpniętą z nich wodą można zaparzyć kawę. Największe to właśnie Fuente del Diablo. Zasilają je prawdopodobnie podskórne strumienie, gdyż poziom wody jest w nim ciągle taki sam.

— Mniejsza o to! Przejdźmy do rzeczy: jak szybko można się dostać do Czarciego Źródła?

— Hm! To zależy... Jechać możecie tylko tą drogą, którą pojechali tamci. Bardzo kiepska, ale innej nie ma. O wiele szybciej dostaniecie się tam pieszo. Ścieżka, choć bardzo stroma, nie jest zbyt męcząca. Osobiście radziłbym ją wybrać. Tylko co zrobicie z końmi?

— Nie rozumiem...

— Musielibyście je pozostawić przed ścieżką, a chcecie przecież przedostać się przez góry.

— Nie! Chcemy tylko schwytać tych ludzi. Jeśli się to uda, wrócimy tutaj.

— W takim razie, jak mówiłem, musicie dojechać do skrzyżowania drogi ze ścieżką i tam zostawić konie. Albo inaczej: ja pojedę z wami i zabiorę konie z powrotem. Tak będzie najlepiej. A teraz proszę do środka, przygotuję coś do jedzenia.

— Odłóżmy jedzenie na później! Musimy wyruszyć natychmiast.

— Wybaczcie, seniores, ale jestem innego zdania. Nic się nie stanie, jeżeli odpoczniecie przez pół godziny i coś

zjecie. Ręczę, że nie tylko zdążycie, ale przy Czarcim Źródle będziecie o godzinę wcześniej niż oni.

— Nie znamy drogi, więc stracimy trochę czasu na szukanie.

— Pojadę z wami aż do barranco, więc nie zabłądzicie. Wdrapawszy się na górę, wyjdziecie tuż obok źródła. Właściwie mogę was i tam zaprowadzić.

— Nie, senior, dojdziemy sami. Będziemy wdzięczni, jeżeli zaprowadzi nas pan do ścieżki i zajmie się końmi. Skoro zapewnia pan, że zdążymy na czas, odpocznimy i coś przekąsimy.

Menu było mizerne, ale nie narzekali, zadowoleni, że choć przez chwilę mogą wypocząć. Rozglądali się ciekawie po całym obejściu, równie obskurnym i ubogim co chata. Około tuzina kur z wielką gorliwością szukało nie istniejących ziaren. Każda była uwiązana na sznurku dwumetrowej długości. Chcąc złapać ptaka, nie trzeba było za nim biegać, ale wystarczyło po prostu chwycić sznurek. Kury — jak się okazało — nie stanowiły całego inwentarza oberżysty. Oto jakiś chudy chłopak pędził duże stado indyków. Poganiał je nie batem, lecz kijem, owiniętym na końcu skórą kuny; te zwierzęta są tutaj najgroźniejszym wrogiem indyków, ptaki czują respekt nawet przed ich skórą. Po chwili Grandeprise zwrócił się do gospodarza:

— Jak zachowywali się ci trzej mężczyźni? Czy sprawiali wrażenie, że się boją i przed kimś uciekają?

— Słyszałem, że rozmawiali na ten temat. Jeden z nich, którego nazywali Landolą, roześmiał się na uwagę, iż ktoś może ich ścigać, i dodał, że ślad z pewnością już zagał. „Gdy miniemy górę — mówił — znikną wszelkie powody do obaw. Musimy myśleć tylko o pieniądzach. Możliwość ich uzyskania po tamtej stronie jest znacznie większa niż tutaj”.

— To zrozumiałe! Dla wykonania swego planu potrzebują bardzo dużo forsy. Tutaj wszelkie ich poczynania zwróciłyby uwagę władz. Musimy pomieszać im szyki! No, ruszajmy!

Dosiedli koni, a gospodarz przeraźliwie chudego osła i skierowali się na zachód. Okazało się, że kłapouch dzielnie dotrzymuje kroku koniom, wyczerpanym długą podróżą. Po upływie godziny dojechali do podnóża góry i zaczęli się ostrożnie wspinać po skalnych kamieniach. Niewiele czasu minęło, gdy dotarli do wąskiej kotliny, prawie pionowo wcinającej się w skałę. Tylko dobry piechur mógł marzyć o jej sforsowaniu. Jeździec, nawet najlepszy, z pewnością nie dałby rady.

— Oto barranco — hotelarz wskazał na wąwóz. — Po dwóch godzinach wspinaczki dotrzecie do miejsca położonego naprzeciw Czarciego Źródła. Zbiegowie jadą drogą okrężną, z drugiej strony góry. O, tam — wskazał ręką. — Ale co to, na Boga!?!...

Spojrzeni na niego. Wpatrywał się w coś, co leżało na owej drodze dla jeźdźców. Ich pies zaś, zjeżywszy sierść, zadarł łeb do góry i zawył przeciągle.

— Santa Madonna! — krzyknął gospodarz. — To chyba koń!?

— Koń? — powtórzył Mariano. — Ależ tak, widzę teraz wyraźnie! Jedźmy tam!

Po paru minutach byli na miejscu. Przed ich oczyma roztoczył się straszny widok. Obok martwego konia z otwartą raną na szyi ujrzeni zwłoki człowieka w kałuży krwi. Był to Manfredo.

Zdjęła ich groza. Grandeprise pochylił się nad trupem. W piersi Manfreda widniała rana zadana sztyletem. Teraz traper uważnie przyjrzał się koniowi. Po chwili wyprostował się i cedząc słowa powiedział:

— Sprawa jest dla mnie zupełnie jasna. Wyczerpane do cna zwierzę wpadło przednią nogą w szczelinę, runęło i nie mogło się podnieść. Wtedy między trzema zbirami doszło do kłótni, kto ma dosiąść konia — pozostały przy życiu tylko dwa — a kto iść piechotą. Podczas sprzeczki Manfredo został ugodzony sztyletem. Jestem tylko ciekaw, kto go zamordował: Cortejo czy Landola.

— Chyba ja potrafię odpowiedzieć na to pytanie — ożywił się oberżysta. — Nóż miał ten, który nie wierzył w pościg.

— A więc Landola! Byłem tego prawie pewien. Cortejo nie potrafiłby tak wycelować, jest zresztą wielkim tchórzem. Ale będzie to ostatnia zbrodnia Landoli! Przysięgam na wszystkie moce piekielne!

— A to dranie! — pokiwał głową Mariano. — Przecież właśnie Manfredo pokazał im tajemne wyjście z klasztoru i to jemu zawdzięczają ratunek.

— No tak, był ich sprzymierzeńcem, a oni pięknie odpłacili mu za to. Nic tu po nas. Zmarłemu i tak nie pomożemy, a czas ucieka. Do widzenia, senior — Grandeprise zwrócił się do hotelarza — wracaj pan do domu.

Gospodarz jednak nie uczynił tego od razu. Żył w biedzie. Sumienie mu nie pozwalało zostawić na zmarnowanie tyle dobrego mięsa. Cortejo i Landola wykroili wprawdzie i zabrali ze sobą spore kawały koniny, ale było jej jeszcze bardzo dużo. Nie namyślając się, wyciągnął nóż i zabrał się do roboty.

W tym samym czasie ścigający zaczęli się mozolnie wdrapywać po zboczu wąwozu. Towarzyszył im pies. Skąła była bardzo stroma, mimo to posuwali się dość sprawnie, pomagając sobie wzajemnie. Wkrótce usłyszeli jakieś szumy i szmery. Były to potoki wypływające w różnych miejscach i starające się przebić przez lawę. Przed jednym ze źródeł Mindrello przystanął, zanurzył w nim rękę i... cofnął ją gwałtownie.

— To prawdziwy ukrop! — krzyknął. — O mały włos nie poparzyłem sobie dłoni!

Towarzysze roześmiali się z niedowierzaniem. Po czym zrobiwszy to samo, co Mindrello, równie szybko jak on odskoczyli od źródła. Woda naprawdę była bardzo gorąca.

— No, dość tych eksperymentów — powiedział Grandeprise. — Chodźmy dalej.

Musieli iść nadzwyczaj ostrożnie, co chwila badając grunt, bo każde mocniejsze stąpienie groziło zanurzeniem się we wrzącej cieczy, płynącej pod powierzchnią ziemi. Słońce wskazywało mniej więcej czwartą po południu, gdy pokonali ostatnie wzniesienie. Oczom ich ukazała się górską przełęcz z zalegającymi ją wielkimi blokami czarnej lawy oraz kłęby pary unoszące się w wielu miejscach nad gorącymi źródłami. Ze słów oberżysty wynikało, że Czarcie Źródło leży tuż obok. Rozejrzeli się. I rzeczywiście. W ciemnej szczelinie, wydrążonej w skamieniałej lawie, lśniła czarna

tafla wody. Dostrzec ją można było tylko wtedy, gdy wiatr rozpraszał tumany mgły.

Otoczenie Czarciego Źródła robiło niesamowite wrażenie. Kiedy tak patrzyli na owo skupisko odłamów skalnych i bloków lawy, zdało się, że to dzieło samego szatana, popełnione w przystępie szewskiej pasji lub złego humoru. Tylko diabeł mógł sobie tak poczynać z górami i wulkanami.

Przez jakiś czas zachwycali się także zupełnie innym obrazem natury. Na zachodzie pasma górskie opadały łagodnie ku Oceanowi Spokojnemu, a jego wody zdawały się błyszczeć między poszczególnymi szczytami. Oczywiście było to złudzenie, gdyż odległość gór od oceanu wynosiła co najmniej dwieście kilometrów. W rzeczywistości chmury i obłoki „udawały” fale, a wyłaniające się z nich wierzchołki gór — wyspy. Najlepiej widoczny był Pic de Tancitaro oraz wznoszący się naprzeciw — Nevado de Colima. Chwilami można było dojrzeć w oddali niezupełnie jeszcze wygasły wulkan Jorullo. Wkrótce jednak, ponieważ miało się ku wieczorowi, mgła zasnuła dolinę i całkowicie okryła ten najwyższy szczyt zachodniego pasma.

Zbiegów nie było jeszcze nawet słyhać. Mindrello ukrył się więc w wyłomie skalnym, skąd nie zauważony, mógł doskonale obserwować okolice, a przede wszystkim drogę, na której musieli się pojawić Landola i Cortejo.

Grandeprise i Mariano natomiast usiedli pod skałą w pobliżu Fuente del Diablo. Po chwili milczenia odezwał się Mariano:

— Senior, co zrobimy z tymi dwoma łotrami? Traper obrzucił go badawczym spojrzeniem.

— A co pan by zrobił? — zapytał. Mariano namyślał się długo.

— Odstawiłbym ich do Santa Jaga — powiedział wreszcie.

— Żeby jeszcze raz uciekli? A w ogóle po co tam właśnie?

— Ich zeznania będą nam potrzebne w procesie rodziny Rodrigandów przeciw Cortejom.

— Czego się pan spodziewa po tych draniach? Że powiedzą prawdę? To naiwność! A zresztą mamy przecież Pabla Corteja i jego córkę. Jeżeli tak bardzo zależy panu na zeznaniach przestępców, wystarczy to, co uda się wydobyć z Josefy, ewentualnie Gasparina, ale Landoli... — długo wstrzymywana wściekłość wybuchła w nim nagle — ...ale Enrique'a Landoli wam nie oddam! Należy do mnie, wyłącznie do mnie!

Trudno było poznać tego zazwyczaj opanowanego człowieka. Na policzki wystąpiły mu rumieńce, w oczach pojawiły się dziwne błyski, a usta przybrały zacięty wyraz. Gdyby Landola widział w tej chwili swego śmiertelnego wroga, przyrodniego brata, z pewnością przestraszyłby się nie na żarty.

Mariano nie zdążył nic odpowiedzieć traperowi, gdyż w tym momencie nadszedł Mindrello z wiadomością, że zbiegowie się zbliżają.

— A więc do dzieła! — zawołał Grandeprise.

Już wcześniej ustalono, że Mariano i Mindrello schowają się za blokami skalnymi, a Grandeprise wraz z psem wyjdzie na spotkanie wrogów. Ustalono również, że strzelać będą tylko w obronie własnej i że nawet w tym przypadku należy celować nie w głowę i nie w serce, ale tak, by rany nie były śmiertelne.

— Pamiętajcie, musimy ich ująć żywych — przypomniał traper.

Kiedy wszyscy trzej zajęli swe posterunki, nad Czarcim Źródłem znowu zapanowała martwa cisza. Minuty oczekiwania wlokły się niepomiernie. Grandeprise zaczął nawet przypuszczać, że Mindrello się pomylił. Nagle usłyszał odgłos spadającego kamienia i zaraz potem ujrzał dwa konie, a na nich Landolę i Corteja. W tych wynędzniałych postaciach o zapadłych policzkach z trudem rozpoznał obu przestępców. Dziesięć dni zmęczenia i głodu wryło na ich twarzach głębokie ślady.

Zatrzymawszy się na szczycie przełęczy, Gasparino aż krzyknął z radości i szybko zsunął się z



konia. Również Landola, choć bardziej powściągliwy w wyrażaniu uczuć, nie mógł ukryć zadowolenia na widok dogodnego do wypoczynku miejsca.

— Cielo! Tę drogę będę długo pamiętać — westchnął Cortejo, siadając nad wodą. — Co za męka! Nie mogę powiedzieć, że jestem panu wdzięczny. Dlaczego nie znalazł pan lepszej?

— Głowę bym dał, że zamiast podziękowania spotkają mnie z pańskiej strony tylko wyrzuty! Czy to tak trudno zrozumieć, że była to dla nas jedyna droga? Że na każdej innej groziło nam stokroć więcej niebezpieczeństw?!

— No dobrze już, dobrze. A co teraz nas czeka?

— Wszystko będzie dobrze! Droga do Manzanillo to w porównaniu z tą, którąśmy przebyli, dziecinna zabawka.

Proszę mi wierzyć! Po tej stronie gór orientuję się doskonale i doprowadzę pana zdrowo i cało.

— Oby tylko nie zemściło się na nas to zabójstwo Manfreda. Zbyt pochopnie używa pan noża, senior Landola!

— Phi! To najmniejszy kłopot. Kto by się tam przejmował Manfredem! Przypuszczam nawet, że znajdą się ludzie, którzy będą wdzięczni, żeśmy go sprzątnęli. Gdyby go schwytano, i tak by wisiał.

— Ale miał rację domagając się konia. Przecież to pański padł, a więc pan powinien był iść pieszo.

— Okazałbym się ostatnim durniem, gdybym się na to zgodził! W takiej sytuacji każdy musi dbać przede wszystkim o siebie i nie mieć litości dla innych.

— Dobrze, że mi pan to powiedział! A więc może się zdarzyć, że i ze mną postąpi senior tak jak z tym chłopcem. Żal mi go. Dużo mu przecież zawdzięczamy i dlatego zasłużył na lepszy los.

— Nie mów pan głupstw. Przyspieszyliśmy tylko to, co i tak by go spotkało. A teraz powiedz pan szczerze: czy naprawdę był pan skłonny podzielić się z nim pieniędzmi? O nie, znam pana zbyt dobrze! Pozbyłby się go senior przy pierwszej lepszej sposobności. Ale dość już o tym. Co się stało, to się nie odstanie. Postaraj się pan lepiej o ogień, żebyśmy mogli zjeść coś gorącego.

— Końskie mięso... Brrr! — wzdrygnął się Cortejo. — Nawet kiedy bywałem w najpodlejszym nastroju, do głowy mi nie przyszło, że kiedyś będę musiał się zadowolić tym specjałem!

— Ależ z pana maminsynek! Już gorsze świństwa jadałem. Zresztą, nasza mordęga wkrótce się skończy. Oczywiście potrzebne są pieniądze i jeszcze raz pieniądze.

Nie ma co! Zabierzemy je pierwszemu lepszemu bogaczowi, którego spotkamy.

— Tym pierwszym lepszym będę chyba ja — spoza skały wysunął się Grandepriese z wymierzonym w nich karabinem.

Landola i Cortejo patrzyli na niego w osłupieniu. Po kilku sekundach pirat ochłonął i zawołał:

— To ty, Grandepriese?! Bies cię chyba sprowadził! Idź więc do diabła!

Wyciągnął nóż zza pasa i rzucił się na trapera. Nie zdołał jednak go dosięgnąć. Pies okazał się szybszy. Głośno ujadając skoczył na napastnika i powalił na ziemię. Nóż wypadł z ręki Landoli.

Szczekanie charta było — jak ustalono — sygnałem dla Mariana i Mindrella. Wybiegli z ukrycia i obezwładnili pirata. Zdesperowany Gasparino nie stawiał oporu. Skrępowano obydwu rzemieniami, zawleczono nad wodę i umieszczono pod skalnym głazem w pół siedzącej, pół leżącej pozycji. Pies warował obok, natomiast Grandepriese, Mariano i Mindrello usiedli naprzeciwko jeńców.

— No, senior Landola — rzekł traper, obrzucając przyrodniego brata nienawistnym spojrzeniem — nie spodziewaliście się wpaść po raz drugi w nasze ręce, prawda?

Pirat nie odpowiedział. Odwrócił głowę i zamknął oczy tak jak Cortejo.

— O, dumny jesteś! Nie chcesz gadać? Tym lepiej, proces będzie krótszy. Nie mamy zamiaru stąd

was zabierać. Tu przeprowadzimy sąd zgodnie z prawami prerii i wydamy bezapelacyjny wyrok.

Landola drgnął. Chciał widać zyskać na czasie, bo po chwili odezwał się:

— Nie wyobrażajcie sobie, że możecie być naszymi sędziami! Tu nie preria!

— Ale ja jestem traperem i przestrzegam praw prerii!

— One nas nie dotyczą! Żądamy prawdziwego sądu.

— Nic więcej? — w głosie Grandepriese'a zabrzmiała ironia. — Dlaczego uciekliście, skoro domagacie się zwykłego sądu? Wasza ucieczka dowodzi, że w ogóle chcieliście uniknąć odpowiedzialności. Dlatego też rozprawa odbędzie się tutaj!

— Nie macie do tego prawa!

— Jesteś o tym przekonany, mój przyrodni bracie? — roześmiał się Grandepriese wrogo. — Zamordowałeś mi ojca, porwałeś narzeczoną, przywłaszczyłeś moje dobre imię i majątek! To twoja wina, że przez całe lata nie mogłem żyć spokojnie! I ty śmiesz jeszcze twierdzić, że nie mam prawa być twoim sędzią?! Śmiechu warte! Ścigałem cię przez prerie i góry, przez jeziora i lasy. Nie spocząłem ani chwili, a teraz gdy wreszcie cię ująłem, miałbym cię puścić wolno? Jesteś najwięszym draniem, jakiego znam, skończysz więc, Jak na to zasłużyłeś!

Landola udawał, że słucha tych słów ze spokojem, ale przestraszył się nie na żarty. Zdawał sobie doskonale sprawę, że od człowieka, któremu wyrządził tyle zła, nie może się spodziewać litości. Jediną deską ratunku było zyskanie na czasie. Dlatego odezwał się z pozorną beztrąską, nawet lekko się uśmiechając:

— Nie będziesz miał odwagi mnie tknąć. Zresztą senior Mariano nie pozwoli na to.

— Ja?! A niby to dlaczego miałoby mi zależeć na pańskim życiu?!

— Bo beze mnie nie będzie pan mógł udowodnić, że jest prawdziwym hrabią!

— Myli się pan. Mam wystarczające dowody! Zresztą w naszych rękach jest Pablo Cortejo i Josefa.

— Ale co pan robi, gdy oni złożą niekorzystne dla pana zeznania? Z fałszywym Alfonsem może się pan rozprawić jedynie przy naszej pomocy.

— Dość już tej komedii! Zapomina senior, że sytuacja się zmieniła. Nie potrzebujemy waszych zeznań. Dysponujemy, powtarzam, w pełni wiarygodnymi dowodami. Mało tego, one i was obciążają. Nie mam więc zamiaru ani nie chcę wchodzić z panem w jakiegokolwiek układy.

Landola stracił panowanie nad sobą.

— Bądźcie przekłeci do setnego pokolenia! — wrzasnął. — I skończcie wreszcie tę farsę.

— Która dla was zamieni się wkrótce w tragedię — mruknął Grandepriese. — Senior Mariano, o co oskarża pan tego człowieka, który zwie się Landolą? Zwracam uwagę, że może pan wymienić jedynie te zbrodnie, które dotyczą pana i pańskich przyjaciół. Takie są prawa prerii.

— Rozumiem. Oskarżam Landolę o porwanie i uprowadzenie.

— Kogo? Proszę dokładnie określić.

— Mnie i moich przyjaciół.

— A pan, senior Mindrello, o co oskarża tego człowieka?

— O to samo, ponadto zaś o handel ludźmi, czego ofiarą padliśmy między innymi ja i hrabia Fernando de Rodriganda, a także...

— To wystarczy — przerwał traper. — Nie będę już powtarzał, seniores, ile krzywd mnie wyrządził ten człowiek. Jaką karę przewiduje prawo prerii za porwanie i uprowadzenie człowieka?

Zarówno Mariano, jak i Mindrello zbyt wiele wycierpieli od Landoli, aby się zastanawiać nad odpowiedzią. Prawie równocześnie zawołali:

— Karę śmierci!

— A jaką karę przewiduje za wielokrotne porwanie? — pytał dalej Grandeprise.

— Wielokrotną karę śmierci!

— Dziękuję, seniores! Jest to zgodne z tym prawem. A teraz kolej na Gasparina Corteja. O co jego oskarżasz, senior Mariano?

— Oskarżam go o współudział w zbrodniach Landoli. To on dokonał porwania dziecka, czyli mnie i zamiany. Ponadto zorganizował zamach na życie mego ojca i zagrabił nasze mienie. Właściwie to on był inicjatorem wszystkich tych zbrodni.

— A pan, senior Mindrello?

— Oskarżam Gasparina Corteja o bezprawne pozbawienie wolności, o współudział w procederze handlowania ludźmi, o przyczynienie się do nieludzkich cierpień, jakich doznałem w niewoli wraz z hrabią Rodrigandą.

— To w zupełności wystarcza, senior! Proszę teraz odpowiedzieć: jaką karę przewidują prawa prerii za kidnaperstwo?

— Śmierć.

— A za wielokrotne porwanie?

— Śmierć wielokrotną.

— Słyszeliście? — zwrócił się do jeńców, przypatrując się im uważnie. — Wyrok zapadł. Przygotowujcie się do śmierci! — a szeptem dodał: — Ciekawym, jak zareagują na te słowa.

Landola udawał obojętność. Leżał na ziemi z zaciśniętymi zębami i od czasu do czasu obrzucał wrogów złym, pogardliwym spojrzeniem. Gasparino natomiast nawet nie usiłował ukryć przerażenia. Jęczał i szlochał, co chwila zachłystując się łzami. Dla wszystkich było jasne, że gdyby miał choć najmniejszą iskierkę nadziei, nie zawahałby się przed zdradą kompana.

Grandeprise raptem wstał. Podeszedł do źródła i zanurzył w nim palec. Próba widać wypadła pomyślnie, bo z zadowolenia aż cmoknął i pokiwał z uśmiechem głową. Nic jednak nie powiedział. Usiadł znowu naprzeciw jeńców. Tylko twarz miał zmienioną: pojawił się na niej wyraz okrucieństwa.

— Musimy szybko rozprawić się z tymi łotrami! — zawołał po chwili Mariano. — Wieczór się zbliża, a czeka nas długa droga powrotna.

— Szybko? O, nie! — zaprotestował traper. — Co też chodzi panu po głowie! Czy cierpienia spowodowane rozmyślnie przez tych ludzi trwały krótko? Czy przez osiemnaście lat nie przeszliście piekła, pan i Mindrello? Nie chcecie zemsty? A ja uważam, że kulka w łeb byłaby dla nich nie zasłużonym aktem łaski. Zasłużyli nie tylko na śmierć, ale także na tortury!

— Istotnie, jeszcze za życia powinni poczuć przedsmak piekła! — przytaknął Mindrello. — Czy już senior obmyślił, jak umrą?

— Naprawdę się pan nie domyśla? Przecież to takie proste! Czy już pan zapomniał, jak szybko wyciągał rękę z tej wrzącej wody? — wskazał mu źródło.

— Per todos los Santos! Wszyscy święci! — zawołał Mindrello. — Doskonały pomysł! Wrzucimy łotrów do Fuente del Diablo!

Grandeprise zaprzeczył ruchem głowy.

— Za prędko by umarli. Będziemy ich zanurzać w ukropie powoli, powolutku... Po kawałeczku... Niechaj sekundy wydadzą im się wiecznością. Niech skomlą o śmierć jak o łaskę. Niech...

Przerwał mu długi, straszliwy wrzask. To Cortejo nie wytrzymał. Bliski obłądu, wpatrywał się w Amerykanina nieprzytomnym wzrokiem.

— Válgame Dios! Boże, bądź miłościw! — wybełkotał. — Wszystko inne, senior, byle nie to! Na litość boską, błagam!

— Po pierwsze, nie jęcz i nie biadol! Po drugie, zostaw Pana Boga w spokoju. To niedorzeczne wzywać go teraz na pomoc.

— Jeżeli taką śmierć nam gotujecie, jesteście szatanami, nie ludźmi!

— Już zapomniłeś, co sam robiłeś? To wy poczynaliście sobie gorzej od diabłów! Nie proście więc o litość, bo jej nigdy nie okazywaliście innym!

— Mimo to proszę, błagam, puśćcie nas wolno. Przysięgam na wszystkie świętości, że nigdy już nie staniemy wam na drodze. Przysięgam na zbawienie duszy! Senior Mariano, wiem, że ma pan miękkie serce i nie dopuści...

— Milcz, głupcze! — przerwał mu Landola. — Czy nie widzisz, że szkoda każdego słowa dla tych zbirów? Czy nie rozumiesz, że im głośniejszy my jęczymy, tym bardziej oni się cieszą? Bądźże mężczyzną!

Odwrócił się, jakby chciał tym poświadczyć, że już więcej nie ma nic do powiedzenia.

W tym momencie Mariano, który dotychczas milczał, wstał z ziemi i skinął na Grandepriś'a, by poszedł za nim. Zatrzymał się w takiej odległości, by odgłosy rozmowy nie dochodziły do zbrodniarzy. Grandepriś miał ponurą minę, przeczuwał bowiem, co chce od niego młody hrabia.

— Senior Mariano — rzekł — wiem, o co panu chodzi, ale oświadczam z góry, że nie ustąpię.

— Senior Grandepriś, nie byłby pan człowiekiem, lecz diabłem wcielonym!

Traper spojrział na niego niemal wrogo.

— Senior, szanuję pańską wielkoduszność. Po tylu krzywdach, jakie te łotry wyrządziły panu i pańskiej rodzinie... Ale proszę nie wymagać ode mnie, bym zmienił swoje poglądy. Ileż to już lat dzień i noc myślałem o zemście na przyrodnim bracie! Cierpiałem głód, niedostatek, poniewierkę. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że nadzieje się spełnią. Jestem szczery: chcę zemsty, nie kary. Nie moja wina, że inaczej czuję niż pan. Spowodował to on, Landola! Wypędził mnie do dzikiej głuszy, która stała się moją jedyną ojczyzną. A w niej nie ma innych praw, tylko prawo bezwzględnej i krwawej wendety.

— Nie mogę i nie chcę zmieniać pańskiej decyzji. Co jednak zawinił panu Cortejo?

— Mnie nic. Jeżeli Mindrello się zgodzi, może pan temu łotrowi wpakować kulkę w łeb. Tylko że Mindrello, jak sądzę, wyznaje te same zasady co ja.

Mariano wiedział, że tak jest w istocie i na nic by się zdało prosić Mindrella o łaskę dla Corteja. Westchnął więc tylko i powiedział:

— Zrobiłem wszystko, co mogłem, niestety, bez rezultatu. Proszę jednak nie żądać, abym uczestniczył w egzekucji.

— Któż by tego żądał? Sami sobie damy radę!

Gdy wrócili do Mindrella, był on zajęty wiązaniem lassa z rzemieni; łatwo odgadnąć, do czego miało służyć. Landola ciągle jeszcze leżał odwrócony tyłem, natomiast były notariusz przyglądał się tym przygotowaniom oczami szeroko otwartymi ze strachu. Na jego czoło wystąpiły grube krople potu. Zaczął błagać ochrypłym głosem:

— Senior, litości! Nie bądźcie tak okrutni! Nie proszę o darowanie życia, ale o szybką śmierć! Od kuli! Macie przecież broń i możecie...

— Nikczemny tchórze! — słowa te wykrzyknął z największą pogardą Landola. Wsparł się na łokciu i wpatrywał z nienawiścią w towarzysza niedoli. — Jeżeli kiedykolwiek wahałem się, co sądzić o panu, teraz już wiem na pewno! Jest pan niczym! Padnij przed nimi na kolana, czołgaj się na brzuchu, nędzny karle! Zlizuj pył z ich butów, proś, by ci pluli w pysk! Dla takiego, politowania godnego łotra, najokrutniejszego rodzaj śmierci byłby łaską!

Nim Grandepriś i towarzysze zorientowali się, o co chodzi, Landola zerwał się na równe nogi

— widać zdołał jakoś rozluźnić rzemienie — i pociągnawszy za sobą Corteja, skoczył z nim razem do źródła. Rozległ się rozdzierający ryk notariusza i przeraźliwy śmiech pirata. A zaraz potem zaległa głucha cisza. Wody Fuente del Diablo na zawsze pochłonęły ciała złoczyńców.

Mariano, Grandepriese i Mindrello przez dobre kilka minut stali w milczeniu nad brzegiem jeziora.

— To koniec — rzekł wreszcie Mariano — Landola wykonał wyrok za nas. Może to i lepiej. Niechaj Bóg zmiłuje się nad ich duszami!

Noc już zapadła nad bezludną górską doliną, gdy wrócili do hotelu „Dolores”. Gospodarz zasypał ich pytaniami, nie kwapili się jednak do rozmowy, tłumacząc się zmęczeniem. Za to ze smakiem pałaszowali pieczeń — jak sądzili — bawolą, podaną na wieczerzę. Dopiero gdy przełknęli ostatni kawałek, hotelarz oznajmił, że była to konina.

— Moja żona — mówił z uśmiechem — jest specjalistką w przyrządzaniu asado z tego mięsiwa. Postąpiłbym więc głupio, nie wzięwszy choćby kawałka z tego zabitego konia. Prawda, seniores?

Byli tak strudzeni, że pokiwali tylko głowami i czym prędzej rozłożyli się na podłodze. Nim gospodarz wyszedł z izby, wszyscy trzej spali snem sprawiedliwego.

Rano obudzili się wypoczęci, a ich wierzchowce również powróciły do sił. Na pożegnanie ofiarowali hotelarzowi konie Corteja i Landoli. Zachwycony tym darem, długo stał przed drzwiami „hotelu” i kłaniał się w pas dobroczyńcom, chociaż dawno już zniknęli za pierwszym zakrętem.

# OBLĘŻENIE QUERETARO

Oblężenie Oueretaro trwało już wiele dni. Oblegani do szóstego maja dokonali piętnastu wypadów; wyczerpało to doszczętnie ich siły. Cesarz Maksymilian próbował więc pertraktować z generałem Escobedem. Proponował, że odda miasto pod warunkiem, iż będzie mógł wraz z żołnierzami Europejczykami opuścić kraj, a jego zwolennikom w Meksyku włos z głowy nie spadnie. Escobedo odpowiedział lakonicznie:

*Otrzymałem rozkaz wzięcia Oueretaro, a nie pertraktowania z rzekomym cesarzem Meksyku, którego nie uznaję. Krew tych, których zamordowano w imię tak zwanego cesarstwa lub rozstrzelano w myśl dekretu z 3 listopada, wola o pomstę do nieba. Arcyksięciu austriackiemu dawano niejedną sposobność uniknięcia kary za te czyny. Jeżeli nie usłuchał i nie wykorzystał sposobności, sam sobie winien.*

Po tej odpowiedzi Maksymilian usiłował skontaktować się z Juarezem, lecz bezskutecznie. To samo spotkało generała Miramona. Na próżno zwracał się do Juareza, Escobeda i innych generałów w nadziei, że uda mu się wydostać z pułapki, w którą zwabił cesarza. Odpowiadano milczeniem lub szyderstwem.

Siedział teraz w swoim pokoju. Przed nim stał pułkownik Lopez, ten sam, któremu nie udało się porwać Emilii. Lopez był kawalerem legii honorowej, uważano go za osobistego przyjaciela Maksymiliana, gdyż cesarz trzymał do chrztu jego syna. Maksymilian mianował go najpierw komendantem twierdzy Chapultepec, potem zaś pułkownikiem ułanów cesarzowej i komendantem jej przybocznej gwardii Lopez więc wiele zawdzięczał cesarzowi.

Obaj oficerowie mieli posępne miny, choć różne były tego przyczyny.

Generał wyglądał na człowieka, który stracił wszelką nadzieję.

— Wróciłem właśnie z obchodu pozycji — mówił. — Nasze położenie jest beznadziejne. Utrzymamy się najwyżej kilka dni. Kartacze wroga zupełnie zniszczyły Cerro de las Campanas, tylko fort La Cruz będzie się jeszcze mógł jakiś czas bronić.

— Mówią, że jest nie do zdobycia.

— Dziś już nie. Wkrótce wmaszeruje tam Escobedo i da krwawą odpowiedź na dekret cesarza.

— Nie ma ratunku?

— Nie. Pozostała nam tylko śmierć z bronią w ręku.

— Ach! — Lopez uśmiechnął się ironicznie. — Śmierć za cesarza to piękna rzecz, ale życie jest piękniejsze.

— Ma pan rację. Tym bardziej że nasza śmierć oznaczałaby definitywny kres tego wszystkiego, nad czym pracowaliśmy tyle lat. Nie chcę, nie mogę umrzeć z myślą, że ten Indianin Juarez znowu zostanie prezydentem Meksyku, że znowu będą go czcić i wielbić!

— Musimy znaleźć jakieś wyjście! — Jest jedno, ale...

— Niechże pan mówi!

— No dobrze. Ufam panu. I nie muszę chyba obawiać się pańskiej niedyskrecji.

— Będę milczał jak grób!

— A więc zastanówmy się nad położeniem cesarza.

— Jest zgubiony. Wydając dekret, podpisał na siebie wyrok śmierci. I na pewno zostanie on wykonany.

— A więc nasze poświęcenie nic już mu nie pomoże.

— Uważa więc senior, że zamiast bronić cesarza należałoby... zostawić go losowi?

— To za mało. Tylko działanie może nas uratować.

— Rozumiem...

— Czy jest pan gotów zostać moim wysłannikiem?

— Oczywiście!

— Przypominam, że wybaczyłem panu ucieczkę seniority Emilii w nadziei, że innym razem panu się poszczęści. Odpowiednia chwila nadeszła.

Lopez spojrział spod oka na przełożonego.

— A więc już wtedy myślał pan o tej możliwości?

— Tak.

— Ale czy znalazł pan osobę, z którą można pertraktować?

— Znalazłem. A nawet więcej: jest częściowo przygotowana. To generał Velez, którego niedawno bliżej poznałem.

— Velez? — Lopez był zaskoczony. — Czy ten człowiek naprawdę nadaje się do tego?

— Moim zdaniem świetnie. Twardy, odważny, doskonale radzi sobie z żołnierzami. A w dodatku nienawidzi cesarza i dałby wiele, gdyby mógł go wziąć do niewoli.

— Czy otrzyma od swych zwierzchników pełnomocnictwo do zawarcia z panem wiadomej umowy?

— Escobedo będzie zadowolony z zawładnięcia miastem bez dalszych ofiar.

— W takim razie trzeba mu przede wszystkim oddać fort La Cruz?

— Tak. A więc podejmie się pan misji?

— Zgoda.

— Oto klucz od bramy wypadowej. Dziś, punktualnie o północy, Velez przedostanie się do niej.

— Sam, osobiście?

— Tak. Ufa mi całkowicie.

— Jakie stawia pan warunki?

— Bezpieczny odwrót dla pana i dla mnie.

— A jakich pan żąda gwarancji?

— Jakichże mógłbym żądać? Velez nie będzie tak nieostrożny, aby pozostawić na papierze jakikolwiek ślad tej sprawy.

— Musimy więc się zadowolić jego słowem honoru?

— Tak. Velez jeszcze nigdy w życiu nie złamał słowa.

— To wszystko, co mam załatwić?

— Tak. Niech pan tylko nie spóźni się nawet o sekundę. Będę czekał na pana. Nie położę się, zanim senior nie powiadomi mnie o wynikach rozmowy.

Lopez wyszedł. Znalazłszy się na dworze, zacisnął pięści.

— Każdy otrzymuje to, na co zasłużył — mruknął do siebie. — Niedoczekanie twoje, generale! Sprowadziłeś na cesarza nieszczęście. Zginiesz tak samo jak on!

Nie mógł się doczekać północy. Wydawało mu się, że czas stanął w miejscu. Nareszcie nadeszła upragniona chwila. Podkradł się do furty wypadowej, otworzył ją cicho i równie cicho zamknął za sobą. Natychmiast zauważył jakąś postać opartą o mur. Podeszedł do niej.

— Jestem wysłannikiem generała Miramona — powiedział szeptem. — Pułkownik Lopez do usług. Czy mam zaszczyt z generałem Velezem?

— Tak jest. Wiele o panu słyszałem. Niedawno przysłał mi pan przemiłą dziewczynę — generał roześmiał się.

— Nie rozumiem...

— Dobrze już, dobrze! Chciał ją pan zawlec do Tuli i tam powiesić!

— Dajmy temu spokój!

— Zgoda. A więc do rzeczy. Czego żąda Miramon?

— Wolności dla siebie i dla mnie.

— Hm. Nie jest jej wart. Najchętniej nie pozwoliłbym mu uciec.

— Ja też.

— Jak to? — zdumiał się generał.

— Nie uważam go za przyjaciela.

— Do kroćset! Przecież zgodził się pan być jego pełnomocnikiem?

— No tak, ale chciałbym go wyprowadzić w pole. Powiem mu, że zawarłem z panem umowę na jego warunkach, a tymczasem wpuszczę pana wojska tą bramą o dzień wcześniej i wtedy...

— Do licha! Miramon będzie przekonany, że to nie senior, tylko ja postąpiłem nieuczciwie!

— Niech się pan o to nie martwi! Przecież mu nie wyjawię prawdziwego terminu! Kiedy wejdziecie do miasta czternastego zamiast piętnastego maja, nawet mu do głowy nie przyjdzie, że maczałem w tym palce!

— No rzeczywiście... A więc nikt poza panem nie będzie znał naszych planów?

— Nikt.

— Czy wie pan dokładnie, gdzie mieszka cesarz?

— W klasztorze La Cruz. Byłem nieraz w jego apartamentach.

— Zaprowadzi mnie tam pan o oznaczonej godzinie.

— Ustalenie jej należy do pana. Co do mnie natomiast, muszę mieć gwarancję całkowitego bezpieczeństwa dla siebie i mojej rodziny, musi mi pan także zapewnić ochronę mienia.

— Zgoda.

— Prócz tego chciałbym otrzymać trochę gotówki.

— O jaką sumę chodzi? Jeżeli będzie za wysoka, zrezygnuję z interesu. A więc?

— Uważa pan, że dziesięć tysięcy pesos to za dużo?

— Słono pan liczy, ale zapłacę tę sumę. Ustalmy więc szczegóły. W nocy z czternastego na piętnastego maja, o godzinie jedenastej, otworzy pan tę bramę. W pobliżu znajdzie senior portfel z pieniędzmi w walucie angielskiej. Do północy będzie pan mógł wszystko dokładnie przeliczyć, a tym samym sprawdzić, czy dotrzymałem przyrzeczenia. Dokładnie o północy wejdę przez bramę z dwustu ludźmi, większej liczby żołnierzy nie chciałbym narażać. Gdy przekonam się, że nie urządził pan na nas zasadki, pošlę po posiłki. I wtedy zaprowadzi mnie pan do cesarza. To wszystko. Dla uniknięcia wszelkich podejrzeń zostanie pan oczywiście uwięziony na pewien czas. Ręczę jednak, że po dwóch tygodniach będzie mógł senior odejść spokojnie wraz z rodziną i całym dobytkiem. Zgoda?

— Zgoda.

Podawszy sobie dłonie, rozstali się. Generał Velez wrócił do obozu, Lopez zaś udał się do generała Miramona, który czekał na niego z niecierpliwością.

— No, jakże poszło? Mówże pan! — zapytał podenerwowanym tonem.

— Jak po maśle! Będzie pan zadowolony, generale.

— Dzięki Bogu! — Miramon odetchnął z ulgą. —

Przyznam szczerze, że się nieco obawiałem. Wszczęcie tego rodzaju pertraktacji z nieprzyjacielskim oficerem tak wysokiej rangi było bądź co bądź krokiem ryzykownym. Gdyby plan się nie powiódł, narazilibyśmy się na poważne konsekwencje.

Lopez zmarszczył brwi.

— Ma pan oczywiście rację. Kto jednak podjął to ryzyko?

— Co za pytanie! My dwaj.



— Śmiem zaprzeczyć. Pan trzymał się na uboczu. W razie niepowodzenia ja odpowiadałbym przede wszystkim, mnie by ujęto.

— Działał pan w moim imieniu i jestem pewien, że powołałby się pan na mnie. Obaj więc w równej mierze narażaliśmy się na niebezpieczeństwo.

— Tak pan uważa? Może i racja — Lopez doszedł do wniosku, że trzeba ustąpić. — W każdym razie to szczęście, że plan się udał.

— Jak brzmi umowa?

— Otworzymy bramę wypadową do fortu i wejście do klasztoru La Cruz. Velez zaaresztuje cesarza, my zaś będziemy wolni.

— Jakie gwarancje pan uzyskał?

— Żadnych prócz słowa honoru. Generał pokiwał głową.

— Hm... Czy to wystarczy?

— Teraz pan wątpi w rzetelność Veleza?

— Nie słyszałem wprawdzie, aby kiedykolwiek złamał dane słowo, ale w tym przypadku... Hm!... — umilkł. Widać było, że ciężko mu mówić dalej.

Lopez zrozumiał w lot w czym rzecz.

— Dlaczego obawia się pan — zapytał — że mógłby w tym przypadku postąpić inaczej?

— Bo... bo... bo będzie nas uważał za zdrajców!

— Brzydkie to słowo, ale trafne. Są ludzie, którzy wyznają zasadę, że wobec zdraj... Do licha, przekłete słowo!... Że wobec zdrajców można nie dotrzymywać słowa. Czyżby Velez należał do nich?

— Nie sądzę, lecz szkoda, że nie udało się uzyskać pewniejszej gwarancji. Oczywiście i my musielibyśmy dać wtedy jakąś rękojmię. A co moglibyśmy ofiarować?

— Hm. Nic ponad słowo. Jedziemy na jednym wózku.

— Ależ przeciwnie, położenie nasze jest dla niego dostateczną gwarancją, że dotrzymamy obietnicy. Jaki los nas czeka w niewoli?

— Z pewnością niezbyt ciekawy. Ale i — dodał z naciskiem — nie bardzo tragiczny. Po zawarciu pokoju jeńcy wojenni odzyskują przecież wolność.

— Na to nie można liczyć.

— Ach! — Lopez udał przerażenie.

— Nie odzyskamy wolności — ciągnął Miramon. — Czy wie pan jednak, jaki los czeka cesarza, gdy znajdzie się w rękach republikanów?

— Zostanie rozstrzelany.

— Bez wątpienia. A my? Czy unikniemy tego?

— Sądzi pan, że Juarez każe rozstrzelać wszystkich, od cesarza do ostatniego żołnierza?

— Chyba nie.

— No, więc? Rozstrzela po prostu przywódców, to jest cesarza, kilku generałów i... koniec na tym!

Miramon zmarszczył czoło.

— Nie bardzo to uprzejmie, pułkowniku, malować przede mną taką przyszłość!

— Według umowy — Lopez nie podjął tematu — Velez przybędzie na czele dwustu ludzi. Gdy przekona się, że dotrzymaliśmy słowa, wezwie większy oddział.

— A więc pomyślał o środkach ostrożności. Kiedy i o której godzinie zamierza się pojawić?

— W nocy z piętnastego na szesnastego maja.

— Do licha! Tak późno?

— Nie może przybyć wcześniej. Twierdził, że do tego czasu nie będzie go w obozie.

— Trudno. Trzeba się zgodzić. Którą ustaliliście godzinę?

— Północ.

— Oby noc była jak najciemniejsza. Jeśli plan się uda, może pan liczyć na wysoką zapłatę.

Lopez wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

— Trudno żyć samą nadzieją.

— Nie ufa pan moim słowom?

— Ależ tak, ale...

— Co „ale”...? — obruszył się Miramon.

— Nie można zapominać, że Juarez jest naszym zaciekle wrogiem. Gdy zostanie prezydentem, nie będzie pan odgrywać w kraju żadnej roli.

— Zostanę zapewne skazany na banicję.

— Jakże więc senior będzie mógł mnie wynagrodzić?

— Hm. Sądzi pan, że naprawdę poddam się zarządzeniom Juareza? Mam jeszcze jakie takie wpływy, nawet daleko za oceanem... Użyję ich, aby obalić Zapotekę.

— Ciężkie zadanie. Podobnego nie potrafili rozwiązać ani Napoleon, ani Maksymilian.

— Szkoła, przez którą przeszedłem, nauczyła mnie wielu rzeczy. Gdy odzyskam wolność, Juarez niedługo będzie rządzić.

Miramon liczył, że będzie mógł objąć władzę przy pomocy tajnego związku. Łudził się, że potrafi związek tak umocnić, iż zgotuje on klęskę Juarezowi. Wolał nie ujawniać przed Lopezem swych planów, powiedział więc tylko:

— Nie czas teraz mówić o tych sprawach. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, dowie się pan więcej. Na dzisiaj dosyć. Dobrej nocy, pułkowniku!

— Dobranoc, generale!

Lopez odszedł, a Miramon udał się na spoczynek. Nim zasnął, rozmyślał, czy do jednego z jego zwolenników, przebywającego między Salamanką a Quanachtą, dotarł już goniec, którego wysłał z następującym poleceniem:

*Po otrzymaniu tego pisma ruszycie na czele swego oddziału i napadniecie na tyły Escobeda, wykrzykując, że jesteście zwolennikami Maksymiliana. Atak ten nie przyniesie wam żadnych korzyści, lecz dla mnie ma poważne znaczenie. Będziecie walczyć, dopóki sił starczy, po czym cofniecie się i ukryjecie w obozie.*

*General Miramon.*

Akcja ta miała stanowić dla generała swego rodzaju alibi. Rozkazał posłańcowi, aby w razie schwytania go, połknął kartkę. Nie doszło jednak do tego. Goniec prześliznął się szczęśliwie przez linie wroga i dotarł do celu. Zausznik Miramona natychmiast po przeczytaniu listu zaczął się sposobie do wykonania rozkazu.

Kurt Unger został przydzielony do oddziałów generała Veleza. Sztab generała zaproponował nową koncepcję zdobycia Queretaro. Velez nie chciał jej zatwierdzić, wiedział już bowiem, że twierdza padnie na skutek zdrady Miramona, nie mógł jednak nikogo w to wtajemniczać. Sztabowcy twardo stali przy swoim planie. W końcu postanowili — i Velez przystał na to — przedstawić go głównodowodzącemu, generałowi Escobedowi. Misję tę powierzono Kurtowi.

Porucznik wyruszył późnym popołudniem. Kwatera Escobeda leżała niedaleko Queretaro. Dotarł do niej w ciągu godziny. Generał zwołał naradę. Trwała bardzo długo. Nim wreszcie plan zatwierdzono, zapadła już noc.

Kurt, chcąc jak najszybciej wrócić do swojej jednostki, zboczył z głównego traktu, zatłoczonego

wojskiem oblegającym fortecę. Zamiast posuwać się noga za nogą, wolał nałożyć drogi, zatoczył łuk, ale za to jechać bez przeszkód. Nie przewidział jednak, że jadąc po wertepach, wśród całkowitych ciemności, łatwo zgubić kierunek. I tak się stało. Wkrótce znalazł się w szczerym polu i zupełnie nie wiedział, w którą stronę się udać.

Zatrzymał konia i już miał z niego zeskoczyć, gdy nagle wydało mu się, że słyszy parskanie koni, dobiegające z dala, gdzie ciemniało jakieś pasmo zamykające pole.

— To chyba nic innego, jak brzeg lasu — mruknął do siebie, a kiedy parsknięcia zaczęły się powtarzać, dodał: — Toż to cała stadnina! A gdzie konie, tam i jeźdźcy! Przyjaciele czy wrogowie? Raczej wrogowie. Żołnierze Escobeda nie ukrywaliby się w gęstwinie. Trzeba to sprawdzić.

Odjechał tak daleko, aby w lesie nikt go nie mógł usłyszeć. Przywiązał wierzchowca do drzewa, a sam po cichu ruszył w kierunku lasu. Znalazłszy się na brzegu, padł na trawę i zwyczajem myśliwych z prerii zaczął się czołgać. W pewnej chwili do uszu jego doszły pojedyncze słowa czyjeś rozmowy. Podkraśl się bliżej. Pod potężnym drzewem siedzieli dwaj mężczyźni.

— Która godzina? — zapytał jeden.

— Diabli wiedzą — odpowiedział drugi. — Zapewne około jedenastej.

— A więc jeszcze godzina.

— Ruszamy o północy?

— Tak. Atak ma się rozpocząć o pierwszej. Szczerze mówiąc, to zwariowany pomysł. Jest nas czterystu, a tamtych dwadzieścia pięć tysięcy.

— No właśnie! Mamy przecież szczególne zadanie: dać się zarąbać na śmierć!

— Widzisz wszystko czarno. Gdy stałem dziś na warcie, przechodził koło mnie pułkownik wraz z gońcem generała Miramona. Nasz stary wściekał się, że go wysyłają na śmierć. A posłaniec uspokajał go, tłumacząc, że nie ma to być żadna poważna bitwa. Chodzi tylko o to, by cesarz się ludził, że na tyłach nieprzyjaciół są jego zwolennicy, którzy chcą walczyć w obronie cesarstwa.

— Co mu z tego przyjdzie?

— A skąd mam wiedzieć? Nie jestem ani generałem, ani ministrem. Mogę tylko powtórzyć, co mówił tamten: „Rozpoczniecie atak i cofniecie się, gdy tylko zagwiżdżą wam kule nad głowami”.

— Śliczna misja! Krzyczeć: „Wiwat, Maksymilian!”, wystawiać się na cel republikanom, a potem zmykać! Najchętniej zostałbym tutaj. Niech krzyczy ten, komu się to podoba!

— Boisz się?

— Ani trochę! Ale co innego walczyć z nadzieją na wygraną, a co innego nadstawiać karku, gdy wszystko stracone.

— Masz na myśli cesarza? Nie wygadaj się z tym przed pułkownikiem, bo gotów ci kulę w łeb wpakować.

— Za prawdę nie powinno się płacić kulami.

— Masz rację! Ale ile razy tak się dzieje... Mieliśmy dotychczas pecha, mam jednak nadzieję, że teraz będzie inaczej. Miramon to dzielny i mądry chłop. Czyż nie był prezydentem? Nasz pozorny atak musi więc z pewnością czemuś służyć. Może chodzi o to, by Escobedo zajął się nami, a wtedy nasi zrobią wypad z miasta i zniszczą oblegających. Kto to wie?

W tym momencie Kurt usłyszał kroki, które uszły uwagi rozmawiających. Rozległ się czyjś ostry głos:

— Dlaczego rozmawiacie tak głośno?

— Meldujemy się na rozkaz, pułkowniku! — zawołali chórem, zrywając się na równe nogi.

Kurt przypuszczał, że właściwy oddział obozuje w lesie, a tutaj wysłano tylko czujki. Okazało się po chwili, że się nie pomylił.

— Milczeć! — krzyknął pułkownik. — Czyście zapomnieli, że zabroniłem rozmawiać na posterunkach?! A teraz odpowiadać — rozkazał po chwili już spokojniejszym tonem. — Wydarzyło się coś?

— Nic.

— Wracajcie więc do służby. I ani słowa jeden do drugiego! Idę na zwiady. W razie czego meldujcie się majorowi.

Kurt wyczuł, że pułkownik zmierza wprost w jego stronę. Przysunął się więc do drzewa, pod którym siedzieli przedtem wartownicy, i skuliwszy się przywarł do pnia.

Oficer szedł w ciemności z wyciągniętymi rękami. Natknąwszy się na pień, chciał go wyminąć, ale zawadził stopą o nogę Kurta i rozciągnął się jak długi.

— Do licha! — zawołał. — Miałem wrażenie, że potknąłem się o but człowieka! Hej, wy tam, do mnie! Biegiem, marsz!

Przybiegli tak prędko, że Kurt ledwie zdążył odczołgać się trochę dalej i ukryć za pierwszym z brzegu drzewem.

— Macie zapalaki? — zapytał pułkownik.

— Mamy.

Kurt cofnął się jeszcze kawałek.

— Zapalcie! — rozkazał oficer. — Ale kilka na raz; będzie lepiej widać.

Po chwili Kurt ujrzał w nikłym świetle całą trójkę. Na szczęście, do niego blask nie docierał.

— No, rozglądajcie się! — nalegał pułkownik. — Widzicie coś?

— Nic — odpowiedzieli równocześnie.

— Poszukajcie w trawie. Wykonali rozkaz.

— Nic tu nie ma, senior! Tylko korzeń obrośnięty mchem.

— Już rozumiem — w głosie oficera czuć było ulgę. — Zawadziłem o niego.

Pułkownik oddalił się.

— Niebezpieczeństwo minęło — szepnął do siebie Kurt. — A może by tak wziąć do niewoli tego oficerka? To nie będzie łatwe, ale chyba poradzę.

Szybko podniósł się z ziemi i zaczął się skradać cicho jak kot. Pułkownik wyszedł na łąkę i posuwał się brzegiem lasu. Kurt za nim. Kiedy obaj byli już spory kawał drogi od posterunku. Kurt skoczył zniemacka na plecy śledzonego i ścisnął go rękami za gardło. Oficer jęknął i szamotał się rozpaczliwie, ale nie udało mu się zrzucić napastnika. Kurt jeszcze mocniej ścisnął go za szyję. Pułkownik zacharczał, stracił przytomność i upadł. Wtedy Kurt szybko wyciągnął chustkę do nosa i zakneblował pojmanego, po czym zdjął z biodra lasso. Związał nim ręce i nogi jeńca tak, by po obudzeniu nie mógł się ruszyć, i wziął go na plecy. Kiedy, zmordowany do ostatnich granic, znalazł wreszcie swego konia, wciągnął pułkownika na jego grzbiet, odsapnął chwilę i dosiadł wierzchowca. Podtrzymując ręką wciąż nieprzytomnego jeńca, ruszył przed siebie, z początku wolno i ostrożnie, potem coraz szybciej, o ile oczywiście pozwalały ciemności i nierówności terenu.

Nie był pewien, czy jedzie we właściwym kierunku. Wkrótce usłyszał czyjś głos, który kazał mu się zatrzymać. Odetchnął, gdy podszedł do niego oficer i podał znane mu hasło. Odpowiedział ustalonym odzewem i zapytał:

— Kto jest waszym dowódcą?

— Generał Hernano.

— Zaprowadźcie mnie do niego jak najprędzej. Na pierwszą planowany jest przeciw wam nieprzyjacielski atak.

— Do kroćset! Kogóż to pan wiezie na koniu?

— Jeńca. Nie traćmy jednak czasu na szczegóły. Szybko!

Zaleciwszy żołnierzom szczególną czujność, oficer udał się z Kurtem na posterunek. Dosiadł tu konia, po czym pognali jak wicher do kwatery generała.

Mieściła się ona w wiosce, odległej od Ouerétaro o jakieś pół godziny drogi. Dowódca siedział przy kolacji z członkami swego sztabu. Gdy zameldowano Kurta, mruknął niechętnie:

— Cudzoziemskie nazwisko. Wątpię, że sprowadza go tu coś naprawdę ważnego. Ale niech wejdzie!

Kurt wszedł, niosąc na plecach jeńca. Na ten niezwykły widok oficerowie zerwali się z miejsc.

— Valgame Dios! Kogo pan dźwiga?! — zawołał generał.

— Jeńca, senior — odrzekł Kurt i położywszy pułkownika na podłodze, oddał generałowi ukłon wojskowy.

— Tego się domyśliłem. Ale co to za człowiek?

— Pułkownik cesarski.

— Hm. Nie wygląda na pułkownika. W każdym razie złapał pan mysz zamiast słonia.

Generał uśmiechnął się ironicznie. Oficerowie także, bo uważali za swój obowiązek naśladować zwierzchnika.

— Proszę się przekonać — rzekł Kurt lekkim tonem.

— Nie nosi przecież cesarskiego munduru!

— A jednak służy cesarzowi. Ja również nie noszę munduru Escobeda czy prezydenta. Co więcej, jestem ubrany tak samo jak mój jeńiec w strój meksykański.

— A jednak jest pan republikaninem, to pan chciał powiedzieć?

— Nie.

— Zameldowano pana jako porucznika...

— Jestem nim. Służę w armii pruskiej. Przybyłem do Meksyku w sprawach rodzinnych i z pewnych przyczyn oddałem się do dyspozycji prezydenta.

— A w jakim charakterze?

— Inżyniera. Zostałem przydzielony do saperów.

— Hm. Wolę kawalerię. Inżynier to kret, uciekający przed światłem dziennym. Zaanonsowano mi pana jako porucznika Ummera. Nic mi nie mówi to nazwisko.

Kurt nie dał się wyprowadzić z równowagi.

— Nie nazywam się Ummer, lecz Unger — powiedział uprzejmie. — Widać oficer nie dosłyszał, kiedy się mu przedstawiłem.

— Unger? — powtórzył generał. — Czy pana bezpośrednim dowódcą jest generał Velez?

— Tak.

— To zmienia postać rzeczy! Bardzo przepraszam. Gdyby nie przekręcono pana nazwiska, byłbym pana przyjął zupełnie inaczej. Seniores! Oto najwybitniejszy reprezentant naszych służb fortyfikacyjnych.

Oficerowie po kolei podchodzili do Kurta. Każdy z szacunkiem podawał mu rękę. Generał zaś ciągnął dalej:

— Wróćmy do przyczyny pańskiej wizyty. A więc twierdzi pan, że jeńiec jest cesarskim pułkownikiem?

— Tak go tytułowali podwładni. Ja jednak myślę, że to raczej przywódca jakiegoś partyzanckiego oddziału, a może nawet bandy. Opowiem panom, czego byłem świadkiem.

Słuchano go uważnie, a kiedy skończył, generał zawołał:

— Do licha! Szykują na nas napad, a my tracimy czas na rozmowy!

— Nie moja to wina — zauważył Kurt z ironicznym uśmiechem.

— Dlaczego nie uzmysłowił mi pan powagi sytuacji?!

— Jest pan generałem, a ja porucznikiem. Mogłem tylko odpowiadać na pytania.

— Oho, ho... Oficerowie pruscy nie grzeszą uprzejmością! Wydam natychmiast rozkaz, aby jeden z moich oddziałów podszedł pod las. Czy zechce pan łaskawie dowodzić tymi ludźmi?

— Jestem do pana dyspozycji. Proszę jednak, aby najpierw zajął się pan jeńcem.

— Po co? Czas nagli.

— Zdążymy jeszcze zadać rzekomemu pułkownikowi kilka pytań i przeszukać jego kieszenie.

— Powiedział pan, że atak ma się rozpocząć o pierwszej, prawda?

— Tak.

— Teraz dopiero wpół do dwunastej. A więc zgoda. Uwolnić jeńca z więzów — rozkazał adiutantowi.

Meksykanin odzyskał tymczasem przytomność. Szeroko otwartymi ciemnymi oczami rozglądał się wokoło z nie skrywaną wściekłością. Wyjęto mu z ust chustkę, rozwiązano pęta. Wyprostował ręce i nogi i zaczął je rozcierać. Po chwili stanął przed generałem.

— Nazwisko? — zapytał Hernano. Wymienił je.

— Słyszeliście, co ten senior mówił?

— Tak.

— Przyznajecie, że to prawda?

— Rozumie pan chyba, generale, że nie odpowiem na to pytanie.

— No dobrze. Chciałbym jednak usłyszeć, czy istotnie planowaliście atak na moje wojsko.

— I na to nie odpowiem.

— Od kogo otrzymaliście rozkaz, aby dziś...

— Uwaga! — krzyknął nagle Kurt, przerywając generałowi i podskoczył do jeńca.

Przekonany, że nikt nie widzi, sięgnął on ręką do kieszeni i chciał połknąć to, co z niej wyjął. Kurt uniemożliwił ten manewr, z całej siły ścisnąwszy przegub ręki, w której to coś było ukryte. Wtedy jeńiec schylił głowę. Już, już jego usta zbliżyły się do dłoni, gdy Kurt wymierzył mu mocny cios w podbródek, a potem drugi w skroń. Jeńiec stracił przytomność i jak długi upadł na ziemię.

— Do licha! — zdenerwował się generał. — Co to wszystko ma znaczyć?

— Proszę — Kurt wyjął z ręki zemdlonego zwitek papieru. — Chciał to połknąć.

Generał wygładził papiera, przeczytał i zawołał:

— Rozkaz generała Miramona! Do diabła! Moi panowie! — zwrócił się do oficerów — ta kartka jest dowodem, że albo blokada miasta jest niedostateczna, albo nasze straże są za mało czujne! Zastanawiająca natomiast i niezrozumiała dla mnie jest treść tego rozkazu. Miramon wprost pisze, że atak nie przyniesie tym, którzy go podejmą, „żadnych korzyści”, dla niego natomiast „ma poważne znaczenie”. Co to może znaczyć?

Jeden z oficerów powiedział:

— To jasne! Miramon ma zamiar dziś o północy napaść na nasze przednie pozycje i tym atakiem, od tyłu, chce odwrócić naszą uwagę.

— Nie, to chyba nie to — Kurt pokręcił głową. — Wszystkie wypadki Miramona były nieudane. Ostatni, z piątego maja, odparliśmy za pomocą jednej miny. Gdyby Miramon był nie generałem, ale zwyczajnym żołnierzem, zorientowałby się już dawno, że wszystkie obwarowania zostały zaminowane. W każdej chwili możemy je wysadzić. Nie, ten człowiek nie będzie ryzykował! Rozkaz przekazany „pułkownikowi” — wskazał na jeńca — ma na celu wprowadzenie w błąd Maksymiliana. Idzie o to, by cesarz myślał, że na tyłach naszych wojsk znalazła się dostateczna liczba

jego zwolenników, którzy potrafią zaatakować Escobeda i zmusić go do odstąpienia od miasta.

— A więc chodzi o pozorowaną walkę?

— Tak. I jeszcze o coś innego. Czy uważacie, panowie, za całkowicie niemożliwą ewentualną ucieczkę cesarza? Wysłāncowi Miramona udało się przekraść niepostrzeżenie. Dlaczego to samo nie miałoby się udać Maksymilianowi?

— Hm. Trzeba będzie zwiększyć czujność. Ale dlaczego Miramon gra przed cesarzem komedię? Co będzie miał z tego, gdy cesarz, zamiast uciec, dostanie się do niewoli?

— Może się ludzi, że zadowolimy się unieszkodliwieniem władcy, a...

— A on sam, chciał pan powiedzieć, ocaleje?

— Tak właśnie przypuszczam. Mam zresztą do tego poważne podstawy. W każdym razie trzeba natychmiast przesłać rozkaz Miramona naczelnemu wodzowi i zawiadomić go o przedsięwziętych przez nas środkach w celu odparcia tego ataku.

— Ilu ludzi ma go przeprowadzić?

— Z tego, co podsłuchałem, wnoszę, że czterystu.

— Kawaleria to czy piechota?

— Słyszałem parskanie koni. Zdaje mi się również, że wartownicy nosili ostrogi. Zresztą tego typu bandy składają się przeważnie z jeźdźców.

— Jak pan myśli: czy powinniśmy czekać na atak?

— Nie, gdyż w walce, jak to w walce... Nawet przy naszej przewadze możemy mieć straty w ludziach.

— A gdybyśmy pierwsi zaatakowali?

— I to nie. Las ich osłania. A my, mimo ciemności, bylibyśmy całkiem dobrym celem. Najlepiej więc po prostu ich osaczyć.

— Będą się starali przedrzeć.

— To się im nie uda, o ile, oczywiście, wyśle pan sporą liczbę żołnierzy. I o ile cała akcja przeprowadzona zostanie sprawnie i cicho. Po otoczeniu lasu zawiadomimy o tym oblężonych przez parlamentariusza.

— Do licha! To niebezpieczna gra! Guerilleros nie uznają parlamentariuszy, zabijają go.

— Wszystko zależy od tego, czy będzie to człowiek, który potrafi z tymi ludźmi pertraktować.

— Żaden z moich oficerów nie podejmie się tego zadania!

— W takim razie ja proszę o pozwolenie...

— Co? — przerwał generał. — Chce pan pertraktować z guerilleros? Ależ to pewna śmierć!

Kurt wzruszył ramionami.

— Wcale nie mam ochoty być rozstrzelanym lub powieszonym. Proszę tylko o odpis rozkazu Miramona.

— Zaraz każę zrobić kopię — generał wręczył oryginał jednemu z oficerów. — Wkrótce będzie gotowa. Senior Unger, jeśli obstaje pan przy swoim zamiarze, czy wystarczą panu dwa bataliony?

— Całkowicie. Proszę tylko wybrać dobrych strzelców i zaopatrzyć ich w pochodnie, bo trzeba będzie oświetlać teren, a także w rakiety.

Generał wydał odpowiednie polecenia. Zrewidowano jeńca, nic więcej jednak u niego nie znaleziono.

— Odprowadzić pod strażą — rozkazał generał — i dobrze pilnować!

Wkrótce Kurt ruszył na czele dwóch batalionów. Szli bardzo cicho. Na miejsce dotarli przed północą. Nie minęło dziesięć minut, gdy las był otoczony.

# KARA BOSKA

Kurt wszedł między pierwsze drzewa, nie troszcząc się wcale o zachowanie ciszy.

— Stój! Kto idzie?! — usłyszał po pewnym czasie.

— Parlamentariusz.

— Ani kroku dalej, bo strzelam!

Kurt się zatrzymał. Było ciemno jak oko wykol, czuł jednak, że skierowano na niego lufy kilku karabinów.

— Kim pan jest? — pytano dalej.

— Wysłannikiem generała Hernana.

— Ilu ludzi jest z panem?

— Ani jednego. Przyszedłem tu sam.

— Proszę się nie ruszać!

Kurt wycęzał wzrok i słuch, ale nic nie widział i nie słyszał. Jednkdże po upływie kilkudziesięciu sekund wyrosło przed nim jakby spod ziemi pięciu lub sześciu mężczyzn. Jeden z nich zapytał:

— Jak się pan nazywa?

— Odpowiem na to zastępcy pułkownika. Zaprowadźcie mnie do niego!

Kilka rąk chwyciło Kurta i pociągnęło za sobą. Nie opierał się. Zatrzymano się na skraju lasu. Kurt ujrzał sylwetki paru ludzi. Dwóch trzymało w rękach latarki.

— Oto ten człowiek, panie majorze — rzekł jeden z prowadzących porucznika.

— Trzymajcie go mocno! — powiedział major chrapliwym głosem. — Czy ma broń przy sobie?

— Nie sprawdzaliśmy.

— Ale z was głupcy! Zrewidować jeńca!

Po dokładnej rewizji znaleziono tylko raketę. Wręczono ją dowódcy..

— Co to jest? — zwrócił się do Kurta.

— Rakietka.

— Do czego wam potrzebna?

— Wy tłumaczę, jeśli mi ją pan odda.

— O nie, kochanku! To niebezpieczny przedmiot. Związać go!

Kurt wyciągnął ręce.

— Pozwalam się związać — powiedział — mimo że jest to sprzeczne z prawem międzynarodowym.

— Ale parlamentariusze nie mają zwyczaju nosić przy sobie rakiet — zaskrzeczał major.

— Racja. Wziąłem ją jednak w pokojowych zamiarach. Za chwilę przekonacie się o tym. Okoliczność, że wśród ciemnej nocy, w ciemnym borze oddaję się w wasze ręce, powinna być dla was dowodem, iż mam uczciwe zamiary.

— Zobaczmy. Związaliście go dobrze?

— Tak — odpowiedział ten, który spętał ręce Kurta grubym sznurem.

— Możemy więc zaczynać przesłuchanie. Kto was tu przysłał?

— Generał Hernano.

— A to po co?

— Wiedział, że się tu ukryliście i...

— Niemożliwe! Skąd się dowiedział?

— Dziś przybył do was pewien człowiek i wręczył wam rozkaz generała Miramona. Znamy treść tego rozkazu. Mam nawet przy sobie odpis...



— To pospolita zdrada!

— Nie chcę o tym mówić.

— Gdzie ten odpis?

— Proszę sięgnąć do prawej kieszeni moich spodni. Przy rewizji nie zauważono małej karteczki. Jeden z ludzi majora wyciągnął kartkę i podał dowódcy. Ten kazał sobie poświecić latarką i podniósł papier do oczu.

— Nie ma wątpliwości, że ktoś zdradził! — zawołał z wściekłością.

Człowiek stojący obok niego szepnął:

— Czy to naprawdę odpis rozkazu?

— Tak. Co pan o tym myśli, senior? '

— To niepojęte! Przecież tylko Miramon znał treść i...

— Pisał list w pańskiej obecności? — przerwał major.

— Tak. Nikogo oprócz mnie tam nie było. Gdy Miramon skończył, natychmiast ruszyłem w drogę.

— Czyżby generał mówił z kimś o tym? Czyżby sam... Och, nie, to być nie może! Czy wiecie — zwrócił się do Kurta — jaką drogą ten rozkaz dostał się w ręce waszych ludzi?

— Oczywiście, ale zabroniono mi o tym mówić.

Major nie ponowił pytania. Zaległa głucha cisza. Wreszcie przerwał ją Kurt.

— Jesteście otoczeni — powiedział. — Nikomu nie uda się uciec, więc poddajcie się, aby uniknąć niepotrzebnego rozlewu krwi.

— Niech to piekło pochłonie!

Major rzucił latarkę na ziemię i zaczął ją deptać nogami. Otaczający go guerilleros wrzeszczeli i klęli jeden przez drugiego. Po paru minutach tumultu major opanował się, nakazał swoim ciszę i zupełnie już spokojnym głosem spytał Kurta:

— Kto nas otoczył?

— Oddział generała Hernana.

— Ilu ludzi?

— Senior, nie jestem szaleńcem. Przyszło za mną tylu, aby dać sobie radę z wami nawet wtedy, gdyby było was pięć razy tyle, co obecnie. A ma pan czterystu żołnierzy, majorze!

— Do diabła! Znowu zdrada!

— Przyzna pan, że tak dokładnie poinformowany przeciwnik dobrze wiedział, ilu należy posłać żołnierzy, aby was pokonać. Otoczyliśmy las wojskiem, nikt nie zdoła się wymknąć. W waszym własnym interesie wzywam was do niepowtarzania błędów waszego pułkownika!

— Naszego pułkownika? A to co znowu?! Dlaczego go pan wspomina? — major zaczął się zwracać do Kurta z szacunkiem.

— Bo dostał się w nasze ręce.

— Jezus Maria! Teraz rozumiem, od kogo dowiedzieliście się o liczebności mego oddziału. Tylko on mógł wam to wyjawić!

— Nie jestem upoważniony do wyjaśnień.

— Ale tak było! Zdradzono nas dwa razy. To bardzo niedobrze dla pana, senior! Nie ujdzie pan z życiem.

— Hm, w takim razie umrę.

— I mówi pan o tym tak spokojnie?!

— A cóż mi pozostało? Jestem przecież w waszej mocy. Dodam tylko, że nasi otrzymali rozkaz wystrzelania was do nogi, jeśli nie powrócę w ciągu godziny.

— Będziemy się bronić.

— Nie dacie rady. Mamy przytłaczającą przewagę. I jeszcze jedno. Przyszedłem tu do pana w przekonaniu, że będę pertraktować z dowódcą oddziału regularnego wojska, a nie z hersztem bandy.

— A co to ma do rzeczy?

— Bardzo wiele. Będziecie traktowani tak samo, jak innych traktujecie. Jeżeli mnie zabijecie, zostaniecie rozstrzelani jako mordercy. Jeżeli zaś będziecie przestrzegać wobec mnie zasad prawa międzynarodowego, zostaniecie w najgorszym razie jeńcami i po zawarciu pokoju odzyskacie wolność.

— Więc wzywa nas pan do złożenia broni?

— Tak. Opór na nic się nie zda. Daję słowo honoru, że mówię prawdę.

— Jeżeli się poddamy, zostaniemy potraktowani jak jeńcy?

— Tak. Zostaniecie wprawdzie rozbrojeni, ale Juarez nie jest krwawym katem i jeńców nie każe zabijać.

— W jaki sposób miał nas pan przekonać, że jesteśmy osaczeni i że wszelki opór byłby bezcelowy?

— W tym celu wziąłem raketę. Gdy zostanie wystrzelona, nasi ludzie oświetlą całą linię wokół lasu. Będzie to chyba wystarczającym dowodem, że mówię prawdę.

Kurt wyczuł, że major nie pali się do stawiania oporu. Czy spowodowała to wściekłość, że go zdradzono, czy trzeźwość umysłu, czy po prostu tchórzostwo? Trudno określić. W każdym razie po chwili zwrócił się do Kurta:

— A więc dobrze! Wystrzelimy raketę. Senior Gardenas, proszę się zbliżyć. Pan, zdaje się, miał już do czynienia z tym instrumentem?

— Tak, i to nie raz.

Oficer sprawnie zabrał się do rzeczy. Nie minęło i pięć minut, gdy rakietę strzeliła wysoko w górę; zrobiło się jasno jak w dzień.

— Czy to wasi ludzie, senior? — major wskazał widniejące w niedalekiej odległości sylwetki.

— Tak — odrzekł Kurt.

W tym samym momencie usłyszano słowa komendy:

— Cel, pal!

Posypały się kule. Strzelano jednak tak, by nie dosięgnąć przeciwników.

— Do licha! — zawołał major.

— No i co, przekonałem pana? — zapytał Kurt, gdy palba ucichła i znowu zapadła ciemność.

— M nie tak. Ale co wy na to, seniores? — major zwrócił się do podwładnych.

Nie spieszyli się z odpowiedzią. Wreszcie jeden z nich wyjąkał:

— Opór chyba na nic się nie zda. Ale...

— Nie ma żadnego „ale"! — przerwał mu major. — Nie jestem wariatem! Nie chcę, aby nas wystrzelano do nogi, bo znalazł się w naszych szeregach zdrajca! Uwolnijcie tego człowieka z więzów — wskazał na Kurta.

Porucznik rozprostowywał ramiona, gdy nagle poczuł na plecach dotknięcie czyjejś ręki. Odwrócił się. Ujrzał starszego mężczyznę w cywilnym ubraniu.

— Pozwoli senior, że o coś zapytam — odezwał się. — Czy i ja będę traktowany jak jeńiec wojenny?

— Nie należy pan do tego oddziału?

— Nie.

— Rozumiem. A więc to pan przyniósł rozkaz Miramona? Chyba pan wie, na jakie miano zasługuje człowiek, parający się tym, co pan zrobił!

— Nie wolno panu uważać mnie za... za... za szpiega!

— Pan to powiedział!

— Nie jestem szpiegiem!

— No, no! A kimże? Może adiutantem Miramona?

— Nie.

— A oficerem? Albo przynajmniej szeregowym?

— Także nie.

— I mimo to przemycał pan tajne rozkazy wojskowe? Sam pan wydał na siebie wyrok.

— Senior, nie znałem treści tego dokumentu! Po prostu byłem gońcem!

Za wysłannikiem Miramona ujął się major.

— Nie poddam się — oświadczył — jeżeli nie otrzymam gwarancji bezpieczeństwa dla wszystkich moich ludzi!

— Postaram się o wyrozumiałość mojego generała.

— To nie wystarczy. Musi mi pan przyrzec, dać słowo oficera.

Kurt namyślał się chwilę.

— Sądzę — powiedział — że postąpię w myśl życzeń prezydenta, rozszerzając gwarancję i na tego seniora.

Nie przeczuwał nawet, kim jest człowiek, któremu darował życie.

Wojska republikańskie były przekonane, że Kurt zginął. Na widok rakiety w serca żołnierzy wstąpiła nadzieja, a kiedy porucznik wrócił do oddziału, wszyscy szczerze się uradowali. Hernano przyrzekł, że dotrzyma obietnic Kurta, rozumiał bowiem, że najważniejsze jest uniknięcie rozlewu krwi.

Po kwadransie generał i Kurt spotkali się z majorem i jego adiutantem w celu omówienia szczegółów. Ustalono, że jeńcy oddadzą broń jeszcze w ciągu tej nocy, a rano zostaną przewiezieni do obozu pod Ouerétaro.

Nie trzeba dodawać, że nikt nie myślał o odpoczynku. Querilleros dali słowo honoru, że nie uciekną, i pozwolono im poruszać się swobodnie. Wysłannika Miramona natomiast zatrzymano pod strażą. Doświadczwszy wyrozumiałości Kurta, poprosił o rozmowę z nim. Porucznik zgodził się, przekonany, że usłyszy jakąś ważną wiadomość.

— O co chodzi? — spytał podchodząc do jeńca.

— Czy pan porucznik nie mógłby uwolnić mnie od tych ludzi? — wskazał na pilnujących go żołnierzy. — Też dam słowo, jak ci z oddziału, że nie ucieknę.

— Oszalał pan!? Powiedziałem przecież, że uważam pana za szpiega. Szpieczy zaś to ludzie bez honoru, nie mogą więc ręczyć słowem.

Wysłannik Miramona zbladł.

— Senior chyba nie wie, kim jestem — powiedział przez zaciśnięte zęby. — Nazywam się Flores, pracuję jako lekarz w Ouerétaro, w klasztorze La Cruz i tam mieszkam.

— Niepotrzebne mi te informacje. Dla mnie jest pan szpiegiem! I tyle!

W słabym świetle nadchodzącego poranka oczy Floresa błyszczały niesamowicie. Jak oczy dzikiego kota — wzdrygnął się Kurt — w każdej chwili gotowego do skoku.

Szpieg nie dawał za wygraną.

— Ocenia mnie pan fałszywie — ciągnął dalej pokornym tonem. — Sądziłem, że się przysłużę cesarzowi.

— Chciałbym w to wierzyć, ale nie sądzę, że republikanie uznają te pańskie intencje za usprawiedliwiające jego czyn. Mówi więc pan, że jest wiernym zwolennikiem cesarza?

— Tak. Wyznając to panu, zwolennikowi Juareza, daję dowód, że uważanie mnie za tchórzliwego szpiega jest nie na miejscu.

W oczach lekarza pojawiły się groźne błyski. Szybko spuścił powieki, ale Kurt zauważył to spojrzenie.

Trzeba się mieć na baczności — pomyślał. Ten Flores musi być złym, niebezpiecznym człowiekiem.

Kiedy rozwidniło się całkowicie, ruszono z jeńcami w kierunku Querétaro. Oficerom pozwolono jechać na koniach, żołnierze szli pieszo, wraz z nimi — pod strażą — Flores, któremu zabrano wierzchowca. Nie tylko z tego powodu był wściekły. Im bliżej miasta, tym w czarniejszych barwach widział swój los. Zaprowadzą mnie zapewne do kwatery głównej — rozmyślał. Co będzie, gdy ktoś mnie rozpozna i doniesie im, że nie jestem lekarzem Floresem z klasztoru La Cruz, ale doktorem Hilario z delia Barbara? Jedyne ratunek w ucieczce...

Na próżno szukał sposobności. Zjawiała się dopiero wtedy, gdy kolumna dotarła do kotliny, której dość stromy lewy brzeg porastały gęste zarośla. Ponieważ droga była bardzo wąska, piesi i jeźdźcy musieli posuwać się gęsiego. Hilario rozglądał się badawczo na wszystkie strony.

— Jeżeli uda mi się dotrzeć do krzaków — mruknął do siebie — ukryję się i żadna kula mnie nie dosięgnie! — Rozejrzał się raz jeszcze i skoczył w lewo.

— Trzymać go! — krzyknął jeden z eskorty.

Hilario sadził olbrzymimi susami w kierunku zarośli. Padło kilkanaście strzałów karabinowych, lecz żaden nie trafił zbiega. Wkrótce zniknął w gęstwinie.

Znalazł się jednak człowiek, który od dłuższego czasu obserwował Hilario i, rzec można, przewidział jego ucieczkę. Był to Kurt Unger. Jechał na koniu niedaleko doktora, starając się, by ten go nie zauważył, a kiedy Hilario pobiegł w zarośla, spiął konia ostrogami i pogalopował w lewo. Znał okolicę i wiedział, że doktor, przedarłszy się przez krzaki, będzie zmierzał do pobliskiego lasu. Dojechał więc do niego, zsiadł z konia i stanął za drzewem.

Po chwili usłyszał zbliżające się kroki, którym towarzyszyło sapanie jak z kowalskiego miecha. Jeszcze sekundę, dwie i zza krzaków wyłonił się Flores. Kurt wyrósł przed nim jakby spod ziemi.

— Dzień dobry, senior — rzekł z uśmiechem. — Dokądże pan śpieszy o tak wczesnej porze?

Hilario zamienił się w przysłowiowy słup soli.

— Niech cię piekło pochłonie! — wrzasnął, gdy odzyskał mowę, i skoczył w bok.

— Stać! — zawołał Kurt, wyciągając rewolwer. — Stać, bo strzelam!

— Strzelaj, psie!

Pędził, ile sił w nogach. Liczył widać, że kule go nie trafią. Gęsty las był tuż, tuż...

Kurt zmienił decyzję. Lepiej zrobię, jeśli schwytam tego człowieka żywego — postanowił. Wyciągnął lasso i zawiązał pętlę. Podniósł rękę. Coś gwizdnęło, zaszumiało, zakręciło się i pętla spadła na ofiarę.

— Do stu tysięcy diabłów! — zaklął lekarz.

Poczuł straszny ucisk w ramionach i jak długi runął na ziemię. Stracił przytomność. Gdy otworzył oczy, leżał obok konia Kurta. Ręce i nogi miał spętane. Okrągła, opalona twarz porucznika była uśmiechnięta.

— No i cóż, senior Flores, jakże się podróż udała?

— Dlaczego nie pozwolił mi senior uciec?

— Chyba pan żartuje! Szpiega miałem puścić?!

Hilario starał się ukryć wściekłość.

— Jeśli nie spostrzeżono jeszcze, że zostałem schwytany, proponuję bardzo korzystny układ.

— Mianowicie?

— Proszę mnie uwolnić!

— O nie, drogi panie!

— Nie pożałuje pan. Dobrze zapłacę za wolność.

— Pana wolność nie ma dla mnie żadnej wartości. Nie dam za nią ani jednego peso.

— Ale ja dam! Dostanie pan pięć tysięcy talarów. Jestem bogatym człowiekiem.

— No, no. W takim razie to za mało:

— A więc dziesięć tysięcy...

— Coraz lepiej! Musi panu bardzo zależeć na wydostaniu się z rąk republikanów.

— Oczywiście. Opiekuję się chorymi, którzy potrzebują mojej pomocy.

— Żal mi ich, ale lekarza ani trochę. Nie ubijemy targu. No, jazda, senior!

Podniósł związanego jeńca, aby go wsadzić na konia.

— Piętnaście tysięcy! — zawołał Hilario.

— Nic z tego!

— Dwadzieścia!

— Dość! Nie potrzebuję pańskich pieniędzy. Dosiadł wierzchowca i wciągnął nań Floresa.

— Litości! Dam panu trzydzieści tysięcy talarów! Kurt spiął konia.

— Proszę zamilknąć, bo będę zmuszony zamknąć panu usta! Ta próba przekupstwa świadczy, że pana sumienie jest brudniejsze niż mi się z początku wydawało. Już ja to sprawdzę!

Dotarł do obozu ostrym kłusem.

Flores nie odezwał się już ani słowem. Nawet wtedy, gdy zdjęto go z konia i nie szczędząc szturchańców zaprowadzono do więzienia.

Generał Hernano był szczerze uradowany pomyślnym rezultatem akcji. Gdy się dowiedział od Kurta o próbie ucieczki Floresa, obiecał zasięgnąć dokładnych informacji o lekarzu.

Kurt, pożegnawszy generała, miał właśnie dosiąść konia, gdy ujrzał jeźdźca nadjeżdżającego galopem. Poznał go natychmiast. Był to Sternau.

— Ty tutaj?! — zawołał. — Co za niespodzianka!

— Szukałem cię, mój chłopcze. Od pewnego czasu walki już ustały, postanowiłem więc cię odwiedzić. Wczoraj przyjechałem do kwatery Escobeda i dowiedziałem się, że wrócisz wieczorem. Czekałem na próżno przez całą noc. Rano ruszyłem w drogę. Chciałem obejrzyć szanę i... widzę ciebie!

— Co za radość!

— Powiedźże, gdzie byłeś, co robiłeś.

— Miałem bardzo ciekawą przygodę. Zsiądźmy z koni. Mam nadzieję, że znajdzie się tu jakieś miejsce na pogawędkę przy kielichu.

— Poszukajmy!

Po chwili siedzieli w gospodzie. Kurt zaczął opowiadać. Sternau słuchał uważnie, nie przerywając. Gdy Kurt skończył, potrząsnął głową i rzekł:

— Dziwne... Czy znasz stosunki panujące obecnie w klasztorze La Cruz w Ouerétaro?

— Nie.

— Nasz sztab otrzymał dokładne informacje. Poprzedni mieszkańcy musieli wynieść się z klasztoru. O ile mi wiadomo, nie było tam żadnego lekarza. Czy możesz mi tego Floresa opisać?

W miarę słów Kurta zdumienie Sternaua rosło coraz bardziej. Nagle zerwał się na równe nogi i zawołał:

— Nie przypuszczasz nawet, kogo wzięłeś do niewoli! To z pewnością doktor Hilario! Czy

możemy zobaczyć go w więzieniu?

— Oczywiście!

— Chodźmy zaraz! Najpierw ty wejdiesz. Chcę go zaskoczyć.

— Dobrze. Biada mu, jeżeli jest Hilariem! Już nam nie umknie!

Udali się do więzienia. Była to po prostu piwnica domu stojącego na uboczu. Stara budowla miała mury grube na przeszło pół metra, a we wszystkich oknach żelazne kraty. Żołnierz-klucznik poznał Kurta i bez wahania otworzył drzwi od celi lekarza. Sternau stanął za nie domkniętymi drzwiami.

Więzień zdumiał się na widok porucznika.

— Znowu pana widzę — mruknął, wstając z podłogi. Nie był związany.

Kurt przyglądał mu się uważnie. Zaniepokoiło to doktora, choć starał się nie dać tego poznać po sobie.

— Co pana tu sprowadza? — spytał.

— Nie domyśla się pan? Mówiłem przecież, że wysokość sumy, którą chciał pan zapłacić za odzyskanie wolności, wzbudziła moje podejrzenie. Mówiłem również, że zasięgnę języka o panu. Czy nie lepiej oszczędzić mi zachodu i wyznać szczerze, dlaczego boi się pan, że ktoś może go rozpoznać?

— Mnie rozpoznać? A czegoż miałbym się bać? Kto zna doktora Floresa, ten może mu tylko sprzyjać!

— Hm. Nie chce więc pan powiedzieć prawdy. Ale ja i tak wiem, że senior tak bardzo pragnął się uwolnić nie dlatego, że czekają na pana chorzy, lecz jeńcy, wśród nich Gasparino Cortejo i Enrique Landola, których musi pan nakarmić.

Hilario zrozumiał, że jest zdemaskowany. Czuł się tak, jakby otrzymał cios obuchem w głowę. Opamiętał się jednak szybko.

— Nie wiem, kim są ci ludzie — powiedział obojętnym tonem.

— A Pablo Cortejo i jego córka Josefa?

— Słyszałem o nich tyle samo, co każdy Meksykanin. Ta dwójka odegrała haniebną rolę w życiu mojego kraju.

— A teraz oboje pełnią jeszcze haniebniejszą rolę w podziemiach klasztoru delia Barbara! Siedzą w lochu przykuci łańcuchami do ścian.

Kurt mówił wolno, prawie cedził słowa. Stary zbladł jak ściana.

— Nie mam z tym nic wspólnego — wyjąkał.

— Naprawdę? Wymienię więc jeszcze innych jeńców, których więził pan w piwnicach klasztoru. Co panu mówi nazwisko: hrabia Fernando de Rodriganda y Sevilla?

Kolana ugięły się pod Hilariem.

— Nic.

— A Mariano, Unger, Mały Andre, Bawqle Czoło i Niedźwiedzie Serce? To również osoby panu nie znane?

— Tak. Pierwszy raz o nich słyszę.

— Czyżby? A więc i doktora Sternaua też pan nigdy nie widział?

Stary, bliski omdlenia, oparł się o ścianę.

— Nigdy... nigdy... — wyszeptał.

— Ludzi tych pilnował pański bratanek, Manfredo. Wiem to z pierwszego źródła, bo sam ich oswobodziłem..

— Co takiego?! — ryknął Hilario.

— ...i uwięziłem Manfreda. Oczekuje kary, na którą jako pana współlnik w pełni zasłużył.

Hilario patrzył na Kurta w osłupieniu. Jak to się mogło stać? Przecież w klasztorze było tylu żołnierzy?

Kurt ciągnął dalej:

— Inne pańskie matactwa są mi również znane. Człowiek, który wysłał pana do Queretaro już nie żyje; przesłuchano go i powieszono. Seniorita Emilia jest w bezpiecznym miejscu; uratował ją Mały André wraz ze mną. Ja również wziąłem do niewoli oddział żołnierzy cesarskich, którzy się wdarli do klasztoru delia Barbara. Co zaś najważniejsze, nie udało się panu wymordować mieszkańców hacjendy. Nikt nie wypił ani kropli odwaru z ziela śmierci, który wlał pan do kotła z wodą.

Hilario zrozumiał, że jest zgubiony. Mimo to próbował jeszcze ratować skórę.

— Nic nie rozumiem — skrzeczał — nic...

— Naprawdę nic, łotrze? — rozległo się zza drzwi. Na progu stanął Sternau. Hilario zerwał się na równe

nogi i wymachując rękami starał się wykrztusić nazwisko doktora.

— Ster... Ster... Ster... — nie dokończył. Przez chwilę z ust jego wydobywał się niezrozumiały bełkot, usiłował podejść do doktora, ale po paru chwiejnych krokach zwałił się na ziemię jak podcięte drzewo. Oczy miał szeroko otwarte, zęby wyszczerzone i pianę wokół warg. Ciałem jego wstrząsały drgawki.

Kurt odwrócił się. Sternau uklęknął, aby zbadać chorego.

— Sąd niepotrzebny — powiedział wstając. — Bóg go już osądził.

— Nie żyje?

— Nie. Ale do końca dni swoich nie zdoła poruszyć ani ręką, ani nogą. I słowa już nigdy nie powie.

— Jak to długo potrwa?

— Trudno przewidzieć. W każdym razie z dnia na dzień stan jego będzie się pogarszał.

— Czy słyszy nas?

— Na pewno. Patrz, z jaką trwogą nam się przygląda.

— A więc gdy umrze, niejedną tajemnicę zabierze do grobu.

— Tego się nie obawiam. Mamy dosyć świadków i dowodów. No, chodźmy stąd!

Zawołali klucznika i zawiadomili o ataku, któremu uległ więzień. Wkrótce umieszczono go w szpitalu więziennym. Sternau pośpieszył do generała Hernana, aby go poinformować o tym, co zaszło. Kurt zaś ruszył na swój posterunek.

# DZIEWIĘTNASTEGO CZERWCA

Kurt ze zdumieniem ujrzał jadącą przed nim na mule zawołowaną kobietę. Eskortę tworzyli kawalerzyści. Szybko dogonił oddziałek. Uchylił kapelusza jak przystało na dżentelmena. Raptem usłyszał:

— Czy mnie wzrok nie myli? Pan tutaj, poruczniku? Dama zatrzymała muła. Kurt ściągnął cugle. Ponieważ

nieznajoma odezwała się po niemiecku, spytał w tym samym języku:

— Czyżbym miał zaszczyt rozmawiać z Niemką?

— Tak, poruczniku Unger. Zdumiał się jeszcze bardziej.

— Skądże mnie pani zna?

— Przedstawiono mi pana na dworze arcyksięcia w Wiedniu lub Darmstadcie, nie pamiętam.

Mam nadzieję, że nie zmieniłam się tak bardzo — roześmiała się.

Odsunęła gęsty welon. Kurt natychmiast rozpoznał znajome rysy. Była to księżna Salm, żona adiutanta, całym sercem oddanego swemu władcy.

— Co łaskawa pani tutaj robi? Odważyła się pani wyjechać z Ouerétaro?

Teraz zdziwiła się dama.

— Pan wiedział, że przebywam w tym mieście?

— A jakże mogłoby być inaczej? Przecież nie opuściłaby pani męża!

— Dziękuję za te słowa! — wyciągnęła doń rękę. — A co pana sprowadziło do Meksyku?

Kurt przycisnął do ust dłoń księżnej. Eskorta odsunęła się dyskretnie na bok.

— Czy pamięta pani naszą rozmowę w Darmstadcie o rodzie Rodrigandów?

— Ależ tak! Pana opowieść bardzo mnie zaintrygowała.

— Ta właśnie sprawa spowodowała, że jestem tutaj. I, jak się okazało, nie nadaremno.

— Gratuluję! Nie rozumiem tylko jednego: jedzie pan sobie samopas, a przecież pełno tu wszędzie wrogich wojsk, oblegających Ouerétaro.

Kurt uśmiechnął się.

— I ja je oblegam.

— Pan? Chyba pan żartuje!

— Mówię zupełnie serio.

Na twarzy księżnej pojawił się wyraz niechętnego zdumienia.

— Nie mogę w to uwierzyć!

— To jednak prawda. Oddałem się do dyspozycji Juareza i Escobeda.

— Będąc Niemcem? Odszczepieniec... Zdrajca...

— Jestem przekonany, że mi pani wybaczy. Czy pozwoli pani, że wyznam jej pewną tajemnicę?

— Tak — odpowiedziała z powagą.

— I czy zechce ją pani przekazać dwóm osobom?

— Komu?

— Cesarzowi i mężowi. A więc znalazłem się tutaj tylko po to, aby uratować Maksymiliana!

— To brzmi nieprawdopodobnie!

— A jednak tak jest. Niestety, dotychczasowe moje wysiłki nie przyniosły rezultatów.

— Nasze, mojego męża i moje, również. Właśnie wracam od prezydenta.

— Od Juareza?!

— Zostałam przyjęta, rozmawiałam z nim...

— Z czyjego polecenia?



Księżna ostrożnie rozejrzała się na wszystkie strony, po czym szepnęła:

— Z potrzeby serca. Poradziła mi to pewna osoba, której nazwiska nie mogę panu zdradzić.

Wystarałam się u Escobeda o list żelazny. Dzięki temu dostałam się do Juareza.

— Wizyta była daremna?

Skinęła głową, a w jej oczach pojawiły się łzy.

— Boże mój, jaki ten Juarez twardy i nieczuły!...

— Myli się pani! To tylko pozory. W istocie jest człowiekiem wielkiego serca, pełnym zrozumienia i współczucia dla innych.

— Niemożliwe! Nie, to niemożliwe!... Przyjął mnie tak chłodno, nie okazał najmniejszego współczucia.

— Indianin rzadko zdradza swoje uczucia mężczyźnie, wobec kobiety zaś ukrywa je zawsze.

— Nawet kamień by zmiękł, słuchając moich błagań! A on...

— O co go pani prosiła?

— O darowanie życia cesarzowi. Dał odpowiedź więcej niż twardą, nieuprzejmą, niegrzeczną. Oświadczył, że cesarz sam zdecydował o swoim losie, i że on, jako prezydent, nic dlań zrobić nie może. Powiedział dalej, że prośba moja jest dowodem nieostrożności. W końcu dodał, że nie życzy sobie, aby go na przyszłość nagabywano w tej kwestii. Czy nie było to niegrzeczne, a nawet obraźliwe?

— Nie uważam.

— Jak to? A więc i pan nie ma serca?!

— Juarez powiedział tylko prawdę.

— Nie rozumiem w takim razie cesarza...

— Niech pani posłucha. Juarez miał rację, twierdząc, że cesarz sam rozstrzygnął o sobie. Zapoteka chciał go ratować, nawet wysłał ludzi z wyraźnym poleceniem wypełnienia tego zadania. Sam byłem u Maksymiliana w tej sprawie. Prezydent dał mi eskortę i wystawił list żelazny na okaziciela. Dzięki temu glettowi mogłem przejść przez wszystkie oddziały i pozycje. Każdemu, kto by go nie chciał uznać, groziła kara śmierci.

— Mój Boże! Nie uwierzyłabym, gdyby mówił mi to ktoś inny! Kiedy był pan u cesarza?

— Przed kilkoma dniami. Ale odprawił mnie z kwitkiem.

— Znowu nic nie rozumiem...

— Ja w pewnym stopniu również. Powinienem się być właściwie cieszyć, że mnie nie rozstrzelano jako republikanina, który się wkradł potajemnie do komnat cesarza.

— Czy to nie przesada?

— O nie! Oprócz mnie jeszcze ktoś inny znajdował się, i to przez dłuższy czas, w pobliżu cesarza, aby z rozkazu prezydenta go ratować.

— Kto to był?

— Niech mi pani daruje, ale nie wolno mi wymienić nazwiska. Osobie tej udało się pozyskać zaufanie generała Mejii.

— Mejia jest dzielnym człowiekiem i wiernym cesarzowi jak mało kto...

— Na próżno obydwaj starali się spełnić życzenie prezydenta. Miramon, uważany przez nas wszystkich za zdrajcę, pokrzyżował te plany. Wspiera on tajny związek, który pragnie zmusić cesarza do pozostania w Meksyku tak długo, aż odcięta zostanie ostatnia droga ucieczki. Spiskowcy chcą, aby krew Maksymiliana splamiła ręce Juareza. Pozwoli im to na postawienie prezydenta pod pręgierzem opinii publicznej i obalenie jako zabójcy pomazańca.

— Biedny, nieszczęśliwy cesarz — westchnęła księżna. — Ale zdziwi się mój mąż, gdy dowie

się o wszystkim! Będzie musiał natychmiast prosić cesarza o rozmowę.

Kurt wzruszył ramionami.

— Wątpię, czy cokolwiek uzyska. Jak pani widzi, Juarez nie życzy źle Maksymilianowi. Kilka razy wyciągał do niego rękę. Podpisując dekret z trzeciego listopada, cesarz ustanowił prawo odwetu, zostanie więc bez wątpienia skazany na śmierć. Można rzec, że sam wpadnie we własne sidła.

— To straszne, drogi poruczniku!

— Maksymilian odrzucił wszystkie propozycje Zapoteki. Nie chciał Indianinowi powierzyć swego życia. Czy więc prezydent może raz jeszcze, nie ubliżając sobie, próbować mu pomóc, i to w chwili, gdy ratunek jest prawie niemożliwy?

— Ma pan rację. Jako prezydent nie może, ale jako człowiek powinien... Tak go prosiłam, odtrącił mnie jednak brutalnie!

— Jeszcze raz wraca pani do rzekomej nieuprzejmości Juareza! Czy nie rozumie pani, że musiał panią tak potraktować?

— Nie pojmuję! Dlaczego?

— Już dawniej krył się z tym, że usiłował ocalić cesarza, a cóż dopiero teraz, gdy republikanie są pewni zwycięstwa i chcą głowy Maksymiliana. A tymczasem pani zwraca się do niego oficjalnie i w obecności innych prosi o darowanie życia cesarzowi...

— Zaczynam rozumieć...

— Czy Juarez nie miał prawa nazwać pani osobą nieostrożną?

— Och, to zbyt łagodne określenie! Panie poruczniku — ujęła Kurta za rękę — jestem niesłychanie wdzięczna za te wyjaśnienia.

— Chciałem pani tylko dowieść, że jak mniemam, Juarez tymi szorstkimi słowy pragnął pani przekazać, iż zrobi wszystko, aby spełnić pani prośbę. I szło mu o to, by nikt ze świadków rozmowy nie domyślił się tego.

Twarz księżnej rozjaśniła się.

— Jest pan nie tylko dzielnym oficerem, którą to opinią cieszy się pan powszechnie, ale także równie świetnym dyplomata!

— Zbyt dużo zaszczytu, łaskawa pani — uśmiechnął się Kurt. — Nie odbiegajmy jednak od tematu. Jak mówiłem, biorę udział w oblężeniu Ouerétaro tylko po *to*, by uratować cesarza. Nie z entuzjazmu dla republiki leżę w okopach i staram się przebić mury obwarowań. Juarez doskonale się orientuje, że Meksyk nic mnie nie obchodzi i że całkowicie mi obojętne, czy będzie tu panować monarcha czy prezydent.

— Sądzi pan, że Zapoteka zna pańskie zamiary i zgadza się na nie?

— Oczywiście.

— Miał pan okazję wyznać mu swoje plany?

— Ściśle mówiąc, nie. Padły jednak pewne słowa, aluzje...

— Czy można mieć nadzieję, że pana misja się powiedzie?

— Jest jeszcze pewna szansa. Ale tylko w tym przypadku, gdy cesarz pójdzie na to.

— Musimy go przekonać!

— Przede wszystkim trzeba osłabić wpływy tych, którzy chcą wyprowadzić go w pole. Na to, niestety, mało mamy czasu.

— Czy mogę wprost rozmawiać o panu z cesarzem?

— To jedyny sposób. Niech go pani prosi usilnie, aby zechciał mnie wysłuchać.

— Kiedy proponuje pan spotkanie?

— Podczas zdobywania Querétaro.

— Okropność! A więc miasto padnie?

— Za kilka dni. Zjawię się u cesarza w cywilnym ubraniu, bez broni. Mam nadzieję, że go uratuję, zależy to jednak w dużej mierze od niego. No, teraz musimy się rozstać.

— Nie odprowadzi mnie pan?

— Nie. I proszę mi nie mieć tego za złe... Ludzie wiedzą, w jakim celu wyjechała pani z miasta. Moja obecność mogłaby wywołać podejrzenia, których wolałbym uniknąć.

Pożegnali się serdecznie. Księżna wróciła do Ouerétaro pełna nadziei.

Minęło kilka dni. Nastął ranek czternastego maja. Generał Velez odbył z Kurtem długą naradę. Porucznik wrócił do namiotu bardzo poważny. Czekał tu na niego Mały André, który przebywał w kwaterze głównej, czekając na Emilię.

— Och, co za ponura mina, panie poruczniku! — zawołał.

Kurt nie odpowiedział na zaczepkę. Przeszedłszy się kilkanaście razy wzdłuż namiotu, przystanął przed traperem i zapytał:

— Gdzie jest Sternau?

— Chyba w oddziale Escobeda.

— Musimy osiodłać konie i natychmiast jechać do niego!

— Po co?

— Dowie się pan na miejscu!

Wkrótce opuścili obóz. Przypuszczenia Małego André okazały się słuszne: Sternaua zastali w jego kwaterze. Zdziwił się nieco, gdy zziązani towarzysze stanęli na progu.

— Dlaczego tak pędziliście? Czy stało się coś ważnego?

— I to bardzo — odparł Kurt. — Możemy mówić swobodnie?

— Oczywiście.

Zaryglował drzwi, wyjął pudełko caballeros, poczęstował gości, sam również zapalił i wyciągnąwszy się w fotelu, czekał, co powie porucznik.

— To sprawa ściśle poufna — rozpoczął Kurt. — Dzisiejszej nocy opanujemy Queretaro.

Mały André skoczył na równe nogi.

— Naprawdę? Nareszcie! Ach, jakże się cieszę!

— Czyżby miasto miało być wzięte szturmem? — zapytał Sternau. — Escobedo nic o tym nie mówił.

— Nie. Pułkownik Lopez zdradził cesarza: o północy otworzy jedną z bram generałowi Velezowi. Przybyłem z tą wiadomością do ciebie, ponieważ chciałem cię prosić o pomoc w przeprowadzeniu trudnego zadania. Chcę uratować cesarza.

Sternau z powątpiewaniem pokręcił głową. — Jakże to możliwe?

— Kiedy brama będzie otwarta, Velez ma tam wejść na czele dwustu ludzi...

— Spryciarz z niego! Chce się najpierw przekonać, czy nie zastawiono pułapki.

— Tak. A do mnie ma widać zaufanie, bo włączył mnie do tej grupy. Powiedział mi, że natychmiast po wejściu do klasztoru sam pójdzie do cesarza i weźmie go do niewoli. Mam jednak nadzieję, że pokrzyżuję jego plany. Poprosiłem cesarza, aby włożył cywilne ubranie i czekał na mnie w ogrodzie.

— Prosiłeś za pośrednictwem księżny Salm?

— Skąd o tym wiesz?

— Przecież rozmawiałaś z nią, gdy wracała od Juareza. Jak widzisz, mam sporo informacji o twoich poczynaniach.

— Jeden do zera dla ciebie. Ale wracając do rzeczy, bramy będzie strzegł tylko jeden wartownik. Gdy wypad się uda, zgodnie z rozkazem Veleza mają nadejść posiłki. Od chwili naszego wtargnięcia do fortu La Cruz aż do ich przybycia będzie sporo czasu, aby cesarza niepostrzeżenie wyprowadzić poza mury miasta.

— A wartownik?

— Nietrudno będzie odwrócić na kilka chwil jego uwagę.

— No dobrze. Dokąd zaprowadzisz cesarza?

— Najpierw do mojego namiotu. Tam będzie czekał Mały André.

— Ja? — Mały André był bardzo podniecony. — Ja mam pomóc w ucieczce cesarzowi?!

— Tak — odrzekł Kurt. — Przyprawdżę cesarza do namiotu, ale będę, oczywiście, musiał wrócić do fortu. Wtedy pan ukryje Maksymiliana w jakimś bezpiecznym miejscu poza obozem. Będziemy musieli zastanowić się gdzie.

— Już wybrałem — uśmiechnął się Sternau.

— A więc gdzie?

— Tutaj. W moim mieszkaniu.

— To bardzo niebezpieczne! Miałbym wysłać cesarza-zbiega do kwatery Escobeda?

— Niekiedy jaskinia lwa jest najpewniejszym schronieniem. Musisz tylko postarać się o odpowiednią odzież dla cesarza. Mały André przywiezie go do mnie na koniu.

— Ale Maksymilian pod żadnym pozorem nie będzie mógł tutaj długo pozostać — upierał się Kurt.

— Przecież to oczywiste. Najwyżej po pięciu minutach wywiozę go stąd.

— Dokąd?

— Nie domyślasz się? Miejsce to leży na uboczu i nikomu nie przyjdzie do głowy szukać tam cesarza. Maksymilian przeczeka spokojnie, aż droga do morza będzie wolna. Mam na myśli hacjendę del Erina.

Słowa te wzbudziły entuzjazm obu mężczyzn, a Kurt powiedział poważnie:

— Nie byłem tam jeszcze, ale nie wątpię, że to trafny wybór. Kto zawiezie cesarza do hacjendy?

— Ja — odrzekł Sternau.

— W takim razie musisz wziąć urlop.

— Nie obowiązuje mnie u Juareza żadna dyscyplina. W każdej chwili mogę wyjechać, a także wrócić, kiedy mi się podoba.

— Ale prezydent dowie się o twojej nieobecności?

— Zapewne, ale nie powie ani słowa. W głębi duszy będzie rad, że go nie poinformowałem, dokąd jadę.

— Sądziś, że przeczuwa...

— Juarez jest mądrzejszy i bardziej ludzki niż się wielu wydaje.

— A jeżeli Velez lub Escobedo zwąchają pismo nosem i trafią na ślady?

— Wtedy cesarz będzie się mógł schronić w tej części pieczary skarbu królewskiego, której do tej pory nikt z niepowołanych nie odnalazł. Tam będzie całkowicie bezpieczny.

— Mówiłeś już o tym z Bawolim Czołem?

— Tak. Oświadczył, że wraz z Niedźwiedzim Sercem zaprowadzi tam chętnie mnie i cesarza.

— Co? Przecież obaj walczą przeciw Maksymilianowi!

— Dopóki jest cesarzem. Zwykłego śmiertelnika będą ochraniać i bronić zgodnie z moim poleceniem.

— To ciekawe! Nigdy bym nie przypuszczał... — zadumał się Kurt. — A co się stanie z jeńcami

w Santa Jaga, gdy ty odjedziesz?

— Wrócę przecież. Zresztą, możesz się w tej sprawie zdać całkowicie na Juareza.

Plan był naszkicowany. Po omówieniu szczegółów Kurt i Mały André pożegnali się ze Sternauem i wrócili do obozu.

Nadszedł wieczór. Był tak ciepły, że wojsko w Ouerétaro biwakowało pod gołym niebem. Karabiny poustawiano w kozły. Dookoła siedzieli żołnierze, gawędząc i paląc fajki lub skręty.

Cesarz wyznaczył na wczesny ranek wypad poza mury miasta. Obiecywał sobie po nim o wiele więcej niż po wszystkich dotychczasowych potyczkach z wrogiem. W przewidywaniu długiej, ostrej walki żołnierze wcześniej pokładli się pokotem na ziemi, chcąc dobrze się wyspać, nim zabrzmi pobudka. Wkrótce całe miasto było pogrążone we śnie. Czuwało zaledwie paru wartowników, równie wyczerpanych i zmęczonych jak ich koledzy, klęli więc, na czym świat stoi, że im przypadło to „szczęście”.

Maksymilian, spełniając prośbę księżny Salm, nie zauważony przez nikogo, udał się z jej mężem, a swym adiutantem, do ogrodu. Miał nadzieję, że w namiocie prędeż uśnie niż w ponurym, dusznym budynku.

Zbliżała się północ. Z klasztoru ku bramie skradała się jakaś postać. Zgrzytnął klucz w zamku, brama została otwarta. Człowiek, który to zrobił, a bym nim Lopez, pochylił się i podniósł z ziemi wypchany portfel. Zaraz potem cofnął się za bramę, zapalił latarkę i osłaniając sobą światło, zaczął badać zawartość portfela. Po chwili zgasił latarkę i mruknął z zadowoleniem:

— W porządku. Generał dotrzymał słowa.

Wśród wojsk oblegających miasto panowała głucha cisza. Nikt nawet nie przeczuwał, co się wydarzy za chwilę. Co prawda, na dalszych pozycjach czekał w pogotowiu jeden pułk, nikogo to jednak nie dziwiło, gdyż każdej nocy zachowywano szczególną ostrożność.

Około dwunastej ktoś cicho zbliżył się do namiotu Kurta. Kiedy porucznik odsunął plandekę, usłyszał:

— Jest senior gotów?

— Tak, generale.

Przed wejściem czekało dwustu żołnierzy uzbrojonych od stóp do głów. Generał wydał rozkazy i obaj z Kurtem ruszyli na czele oddziału.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, dotarli do bramy. Była przymknięta. Velez ostrożnie nachylił się i zawołał stłumionym głosem:

— Senior!

— Jestem tu, generale! — odpowiedział ktoś równie cicho.

— No i co?

— Wszystko w porządku.

— Gdzie cesarz?

— Dawno już śpi. Dobrze się stało, że wybraliśmy północ. Tuż przed świtem miał być przeprowadzony generalny atak na wasze pozycje.

— A więc w drogę! Setka żołnierzy wejdzie do środka klasztoru.

— A reszta?

— Zostanie na zewnątrz.

Generał prawą ręką wyciągnął szablę z pochwy, a w lewą wziął pistolet. Dał znak żołnierzom i cały oddział zaczął się skradać w stronę klasztoru. Po chwili rozdzielono się. Kurt objął dowództwo grupy złożonej z piętnastu ludzi, która miała obsadzić ogród, Lopez zaś poprowadził generała do wnętrza budynku.

Kiedy doszli do ogrodzenia okalającego ogród Kurt polecił żołnierzom, by rozstawili się wzdłuż sztachet tak, aby nikt nie mógł się tamtędy przedostać. Sam zaś ruszył na poszukiwanie cesarza. Chyba to tam — pomyślał, dojrawszy duży namiot, oświetlony blaskiem księżyca.

Maksymilian obudzony widać hałasem, docierającym z zewnątrz, wyszedł przed namiot. Ujrzał kogoś idącego wprost ku niemu.

— Co...

— Pst! Na miłość boską, cicho! — szepnął Kurt, a poznawszy Maksymiliana, dodał: — Najjaśniejszy pan...

— Tak, to ja — rzekł cesarz również szeptem. — Czego pan sobie życzy?

— Chcę waszą cesarską mość wyprowadzić stąd. Proszę za mną!

— Kim pan jest?

— Jestem porucznik Unger. I...

— Ach, to pan! Jak się pan dostał do miasta?

— Velez wdarł się do Queretaro w wyniku zdrady. Błagam waszą cesarską mość, aby poszedł za mną jak najspieszniej!

— Wielki Boże! Dokądże to?

— Wydostaniemy się z miasta. Droga jeszcze wolna. Za minutę może być za późno.

— A potem?

— Mamy przyjaciół. Gdy miniemy bramę, nic już waszej cesarskiej mości nie będzie zagrażać.

Maksymilian nie odpowiedział. Kurt chwycił go za rękę i zaczął gwałtownie prosić:

— Na miłość boską, błagam, niech wasza cesarska mość nie traci czasu, każda chwila jest droga!

Cesarz odezwał się wreszcie:

— Dziękuję. Jeżeli ratunek jest możliwy, nie będę się opierał. Nigdzie jednak nie pójde bez mego wiernego Mejii i bez tego pana — wskazał na mężczyznę w cywilnym ubraniu, który wyszedł z namiotu.

— Kto to? — Kurt ze zdenerwowania z trudem chwycił oddech.

— Księżę Salm, mój adiutant.

— Dobrze, zgoda. Gdzie jest Mejia?

— Na Cerro de las Campanas.

— Tam nie możemy się dostać.

— W takim razie nie ruszę się stąd.

Brzęk oręża był coraz wyraźniejszy. Kurt usłyszał, jak kilku ludzi, nawołując się, wybiegło z klasztoru po posiłki.

— Błagam, niech wasza cesarska mość nie zwleka — nalegał. — W ciągu kilku minut ogród będzie pełny żołnierzy, a wkrótce republikanie wedrą się do miasta!

— Bez Mejii nie zrobię ani kroku! To moje ostatnie słowo.

— W imieniu wszystkich zwolenników waszej cesarskiej mości zaklinam waszą cesarską mość na dobro ojczyzny, na sławę Austrii! Będę... Ach! Za późno! Może jednak...

Chwycił cesarza pod ramię i poprowadził, opierającego się, ciemną aleją. Księżę Salm pobiegł za nimi.

Tymczasem generał Velez wpadł z oddziałem do ogrodu i ryczał wściekłym głosem:

— Nie ma go w klasztorze! Szukajcie tutaj!

— Boże, już za późno! — Kurt był zrozpaczony. — Żeby się tylko jakoś stąd wydostać! A wtedy, obiecuję, najjaśniejszy panie, dotrzemy do Cerro de las Campanas!

Trzymał Maksymiliana za rękę, a adiutant za drugą. Obaj myśleli tylko o jednym: byle wymknąć

się z ogrodu! Nagle wyrósł przed nimi oddział republikańców.

— Stać! Kto idzie? — zawołał dowódca, wyciągając szablę z pochwy.

— Czego chcecie, Orbejo? — Kurt odpowiedział pytaniem na pytanie. — Czy nie widzicie, że to spokojni obywatele?

— Jacy obywatele? I co tu robicie po nocy? Podszedł bliżej. Przyjrząwszy się Kurtowi, na szczęście go poznał.

— Ach, to senior Unger. A ci dwaj hidalgowie?

— Wracali z knajpy do domu. Przybiegli tutaj zwabieni, jak mówią, podejrzanymi odgłosami.

— No, no. Na drugi raz lepiej siedzieć w domu niż słuchać odgłosów! Niech idą z Bogiem.

Oddalił się w głąb ogrodu. Kurt odetchnął i chciał przyspieszyć kroku, ale Maksymilian zatrzymał się.

— Niech mnie pan zostawi — powiedział z niezwykłym spokojem. — Widzę teraz, że należało pana słuchać. Niestety, nie chciałem wierzyć nawet księżnie Salm, która mi o panu opowiadała. Rzeczywiście pragnął mnie pan uratować. Ale przeznaczenie okazało się silniejsze. Proszę przyjąć najgłębsze podziękowanie i do widzenia! — uścisnął dłoń Kurta.

— Niech Bóg ochrania waszą cesarską mość lepiej niż mnie się to udało!

Po chwili Maksymilian i księżę Salm zniknęli w ciemnościach nocy. Kurt stał zasluchany w echo ich kroków. Nagle ktoś stuknął go w plecy.

— Hola! Co się tak gapisz!/? Niech żyje zwycięstwo! Niech żyje republika! Niech żyje Juarez! Niech żyją Escobedo i Velez!

Kurt zdenerwował się. Uderzeniem pięści powalił natręta z taką siłą, jakby jego dłoń była młotem kowaliskim.

— Masz, krzykaczu! — syknął. — Chętnie zdzieliłbym w tej chwili całą ludzkość! Nic tu już po mnie — mruknął do siebie i ruszył w kierunku bramy.

Nikogo przy niej nie było. W drodze do obozu też nie spotkał żywej duszy. Mały André czekał na niego przy wejściu do namiotu.

— Nareszcie! Gdzie cesarz?

— Tam — wskazał na miasto.

— Nie udało się?

— Udałoby się, ale... niestety... nie chciał mojej pomocy.

— Nie chciał? Mój Boże, co za nonsens! Ale dlaczego?!

— Dlaczego! Dlaczego! Jeszcze jedno słowo, a oberwie pan, i to zdrowo.

Rzucił się na posłanie i zakrył twarz kołdrą. Przeleżał tak ranek i południe. Przed wieczorem przyjechał Sternau, aby się dowiedzieć, dlaczego plan się nie powiódł.

La Cruz i Queretaro dostały się w ręce oddziałów Escobeda. Generał przybył do miasta natychmiast po bezkrwawym zwycięstwie swych wojsk. Nie zdobyto jedynie Cerro de las Campanas, w którym schronił się cesarz. Było jednak oczywiste, że — otoczone przez republikańców — nie utrzyma się dłużej niż kilka godzin. I tak się stało. O siódmej Maksymilian wysłał do Escobeda parlamentariusza. Po godzinie podpisano akt bezwzględnej kapitulacji. Cesarz oddał szpadę generałowi.

Dwudziestego pierwszego czerwca skapitulowała również stolica. Wkroczył do niej generał Porfirio Diaz po opuszczeniu miasta przez nikczemnego komendanta, generała Marqueza, który wykradł się chyłkiem. Dwudziestego siódmego czerwca oddziały prezydenta zajęły Vera-cruz.

W całym Meksyku przywrócono rządy republikańskie z Juarezem jako prezydentem. Skończyło

się cesarstwo. A cesarz?

Piętnastego maja generał Escobedo przekazał następujący list ministrowi wojny republiki, przebywającemu w San Luis Potosi:

*Obóz w Ouerétaro, 15 maja 1867. Dziś o trzeciej rano nasze wojska zdobyły fort La Cruz. Wkrótce potem wzięto do niewoli całą załogę, miasto zaś obsadzono naszymi oddziałami. Nieprzyjaciel cofnął się w nieładzie z resztą wojska w kierunku Cerro de las Campanas. Artyleria ostrzeliwała go skutecznie. O godzinie ósmej Maksymilian skapitulował. Proszę przesłać obywatelowi prezydentowi z okazji tego triumfu sprawy narodowej moje serdeczne gratulacje.*

*Generał Escobedo.*

W raporcie tym, jak widać, nie wspomina nawet słowem o roli, jaką odegrał pułkownik Lopez. Pytani o to później wyżsi oficerowie republikańscy, odpowiadali:

— Murzyn zrobił swoje... A zresztą żaden zdrajca nie zasługuje na pamięć.

Kiedy się stało powszechnie wiadome, że cesarz został pojmany, przedstawiciele wszystkich niemal mocarstw zaczęli energicznie zabiegać o jego uwolnienie. Zapoteka był jednak głuchy na prośby. Jakże miał słuchać tych, którzy uznali cesarstwo, a tym samym opowiedzieli się po stronie tych, co go poniżyli!

Poseł austriacki w Waszyngtonie zwrócił się do rządu Stanów Zjednoczonych z prośbą o podjęcie kroków w celu ulaskawienia cesarza. Na list z Waszyngtonu Juarez odpowiedział krótko:

*Przyznaję, że arcyksiążę cierpi nie tylko za swoje winy. Ale dokonał zamachu na niepodległość mego kraju i dlatego nie mogę go ulaskawić. Czyż mam Habsburga oszczędzić, aby nadal knuł intrygi przeciw Meksykowi? Przyznaję, że ulaskawienie Maksymiliana dodałoby chwały republice, lecz akt ten byłby sprzeczny z elementarną racją stanu.*

*Juarez.*

Dwudziestego pierwszego maja odbyło się spotkanie Maksymiliana z Escobedem, mającym pełnomocnictwa od prezydenta. Cesarz zgodził się na abdykację, żądał jednak w zamian żelaznego glejtu dla siebie, swoich austriackich oficerów i żołnierzy, dla Mejii i dla meksykańskiego prywatnego sekretarza. O Miramonie nie było mowy. Żądania te odrzucono; cesarz — argumentował Escobedo — nie mający ani kraju, ani poddanych, nie może mówić o abdykacji.

Jednakże Juarez nie pragnął zguby Maksymiliana. Wycofał jego sprawę z sądu doraźnego i przekazał specjalnie utworzonemu sądowi wojennemu. Chciał w ten sposób zyskać na czasie, mając nadzieję, że gdy emocje opadną, będzie można wpłynąć na sąd, aby zamienił karę śmierci na banicję.

Tak też by się zapewne stało, gdyby eks-cesarz nie działał na szkodę prezydenta. Niepomny, a może nie świadom tego, że Juarez chce go uratować, wydał orędzie, w którym oświadczył, że abdykuje na rzecz sławnego starca Iturbide oraz że mianuje panów Lareza, Lakunza i Marqueza — a byli to wrogowie Juareza — członkami rządu tymczasowego. Ponadto z wielu stron wzmocniono zabiegi o uwolnienie Maksymiliana. Nic dziwnego, że wrzenie republikańców wzrosło. Juarez był zmuszony do zrezygnowania z wszelkich poczynań w interesie jeńca.

Trybunał, złożony z siedmiu członków, zebrał się na rozprawę w dniu trzynastego czerwca. Oskarżono Maksymiliana o spisek, bezprawne objęcie władzy i znęcanie się nad obywatelami Meksyku. Współoskarżonymi byli Mejia i Miramon. Czternastego czerwca, o jedenastej wieczorem, wydano na wszystkich trzech wyrok śmierci. Kwatera główna zatwierdziła go. Egzekucja miała nastąpić szesnastego, termin ten jednak przesunięto w ostatniej chwili o trzy dni, aby skazani mogli przygotować się do śmierci.

Fakt ten wykorzystał poseł pruski von Magnus. Do prezydenta sądu najwyższego wysłał następujące pismo:



*Do rąk jego ekscelencji seniora ministra Sebastiana Lerdo de Tejada*

*Przybywszy dziś do Queretaro, uświadomiłem sobie, że skazani w dniu 14 bieżącego miesiąca więźniowie polityczni, moralnie zmarli w niedzielę 16 bm. Cały świat sąd ten podzieli, gdyż w dniu tym poczyniono wszystkie przygotowania do egzekucji. Jeńcy czekali przez godzinę i dopiero po upływie tego czasu zakomunikowano im, że wykonanie wyroku zostało odroczone. Zasady etyki naszej epoki nie dopuszczają do tego, aby ludzie, którzy już przez godzinę patrzyli śmierci w oczy, mieli być jutro po raz drugi prowadzeni na rozstrzelanie. W imię honoru i humanitaryzmu zaklinam, aby ich nie mordowano. Powtarzam raz jeszcze, iż jestem przekonany, że władca mój, król pruski, oraz wszystkie koronowane głowy Europy zgodzą się dać waszej ekscelencji wszelką gwarancję, że żaden ze skazańców nie wróci nigdy na ziemię meksykańską.*

*Von Magnus.*

Na to pismo minister odpowiedział:

*Z wielką przykrością muszę panu zakomunikować, że — jak to już wczoraj doniosłem — prezydent państwa nie uważa za możliwe ułaskawienie Maksymiliana von Habsburga ze względu na zasady sprawiedliwości i na konieczność zapewnienia republice pokoju.*

*Lerdo de Tejada.*

W noc przed egzekucją Maksymilian napisał dwa listy — jeden do żony, drugi do matki, arcyksiężny Zofii. Pierwszy brzmiał:

*Gdy przy boskiej pomocy wyzdrowiejesz i będziesz mogła list ten odczytać, zrozumiesz całą surowość losu, który prześladuje mnie od chwili twego wyjazdu do Europy. Zabrałaś ze sobą moje szczęście i duszę. Dlaczego nie słuchałem Twego głosu? Nadzieje moje zostały tak doszczętnie zdruzgotane, że śmierć staje się miast męki wyzwoleniem. Zginę w chwale jak żołnierz na polu walki, jak władca, którego zwyciężono, lecz nie pohańbiono. Cierpię okrutnie. Jeżeli Bóg połączy mnie wkrótce z Tobą, będę błogosławił Jego rękę. Bądź zdrowa!*

*Twój biedny Maksymilian.*

Do listu dołączył pukiel włosów, które mu ścięła żona dozorczy więzienia.

Dwaj towarzysze niedoli cesarza zachowywali się zupełnie inaczej. Generał Mejia wiadomość o wyroku śmierci przyjął z olimpijskim spokojem. Był Indianinem, nie rozumiał więc, jak można się skarżyć na cierpienia fizyczne czy moralne, i uważał, że śmierć dla ukochanego przyjaciela jest największym zaszczytem. Miramon natomiast...

W nocy, podczas której zdobyto Queretaro, Miramon posłał po Lopeza. Pułkownik zjawił się prawie natychmiast.

— Co tu się dzieje? Co znaczy ten hałas? — zapytał generał.

Lopez wzruszył ramionami.

— Republikanie zawładnęli miastem.

— Do licha! Przypuścili szturm?

— Nie.

— Jak się dostali?

— Nie wiadomo.

— Kto ich prowadzi?

— Velez.

— Przypuszczałem, że zjawi się dopiero jutro w nocy.

— A więc nie dotrzymał panu słowa.

Ton odpowiedzi zastanowił generała. Zaczął się domyślać, co zaszło.

— Ale słowa, które panu dał, dotrzymał?

— Co to za insynuacje?!

— Zdrajco! — syknął Miramon.

— A kimże pan jest? Czy mam podać do publicznej wiadomości, że polecił mi pan pertraktować z generałem Velezem? Złapał się pan we własne sidła i spotka pana taki los, jaki chciał pan zgotować cesarzowi! Nic więcej nie mam do powiedzenia — z pogardliwym uśmiechem wyszedł z pokoju.

Miramona wzięto do niewoli razem z cesarzem i Meją. Kiedy zamknięto go w więzieniu, całe dni i noce spędzał na ponurych rozmyślaniach i przywoływaniu wspomnień.

Od początku nienawidził Juareza i chciał go obalić, lecz zdawał sobie sprawę, że sam temu nie podoła. Nie mogąc znaleźć sprzymierzeńców w Meksyku, wpadł na pomysł obalenia Zapoteki przy pomocy cudzoziemca, którego panowanie będzie i tak krótkie. Był jednym z tych, którzy koronę cesarską ofiarowali arcyksięciu austriackiemu. Maksymilian stał się więc zarówno narzędziem Napoleona, jak i Miramona.

Prawdziwych uczuć generała nikt nie znał. Od chwili przybycia Habsburga do Meksyku uważano go powszechnie za stronnika cesarza. On tymczasem miał na uwadze tylko własny interes. Przekonany, że cesarstwo *nie* ostoi się długo, łowił ryby w mętnej wodzie. Wszystkie machinacje rozbiły się jednak o nieugiętość i wytrwałość Juareza. Ostatnią pułapką, w którą Miramon sam wpadł, była zdrada. Zdawał sobie w pełni sprawę, że wszystko stracone. Chyba że cesarz zostanie ułaskawiony. Bo wtedy nie będzie również mowy o rozstrzelaniu generałów. Skończy się jedynie na banicji. I znów będę mógł działać — rozważał.

Do takiej samej konkluzji doszli ci, u których zabiegano o ułaskawienie Maksymiliana: w razie ułaskawienia pozostałby w osobie byłego cesarza wieczny pretendent do korony meksykańskiej, a żywy Miramon i jego zwolennicy mogliby się stać inspiratorami wielu niepokojów i zagrożeń.

Im dłużej Miramon rozmyślał o tym wszystkim, tym większa trawiła go złość i wściekłość na Lopeza za to, że tak haniebnie go oszukał. Chcąc się zemścić na zdrajcy, zgłosił się do sędziego śledczego i opowiedział mu ze szczegółami, co zrobił Lopez. O swojej roli, rzecz jasna, nie wspomniał ani słowem.

— W jakim celu mówi mi senior to wszystko? — zapytał sędzia.

— Mam nadzieję, że pan przekaże te informacje cesarzowi.

— Co mu z nich przyjdzie? Za kilka godzin i tak zginie.

— Dowie się przynajmniej, komu zawdzięcza swój los!

— Już dawno nie jest to dla niego tajemnicą.

— Słyszał o zdradzie Lopeza?!

Sędzia spojrzał surowo na Miramona i odparł wolno:

— Cesarz, jak zresztą wszyscy, wie dobrze, że nasze wojska dostały się do miasta nie w wyniku zdobycia fortu La Cruz, ale dzięki Lopezowi, który był narzędziem w ręku jednego z cesarskich generałów.

— Czyżby?! — Miramon udawał obojętność. — Wygląda mi to na bajkę! Lopez rozpowiada te bzdury, bo chce zrzucić z siebie odpowiedzialność! Założę się, że nie zna pan ani nikt inny zresztą nazwiska człowieka, w którego imieniu rzekomo działał!

— Za to pan zna je lepiej niż ktokolwiek inny.

— Ja?!

— Tak. Przecież to pan.

— Wypraszam sobie!...

Sędzia machnął lekceważąco ręką.

— Nie mówmy już o tym!

— Przeciwnie! Nie mogę pozwolić, aby mój honor splamiono tego rodzaju zarzutem!

— Nic go nie zmyje. Znamy dokładnie treść rozmowy pana z Lopezem.

— Nie prowadziłem z Lopezem na ten temat żadnej rozmowy! Gdybym zaś nawet prowadził, nikt nie mógłby zdradzić jej treści. Czyżby... Lopez?

— Nie! Generał, z którym weszliście w tajne porozumienie, cieszy się opinią człowieka chytrzego i ostrożnego...

— O jakim generale pan mówi?

— Nazwiska są tutaj zbyt cenne. Zresztą, zna je pan równie dobrze jak ja. Oficer ten w pełni zdawał sobie sprawę, czym mogą grozić konszachty z panem. Chcąc się przekonać, czy nie zamierzono wystrychnąć go na dudka, pozyskał człowieka, który należał do najbliższego otoczenia seniora i utrzymywał równie bliskie stosunki z Lopezem.

— Do licha! Kto to?

— Powtarzam raz jeszcze, że żadnego nazwiska nie wymienię. Szukaj pan wśród... adiutantów!

— To nikczemne kłamstwo!

— Ten człowiek śledził pana dzień i noc, podsłuchiwał każde słowo...

— To łgarstwo! — wybuchnął Miramon.

— Och! Pańskie słowa nie mają najmniejszego znaczenia. Wiemy dokładnie, co zaszło. Gdy wszyscy trzej pójdziecie na miejsce kaźni, ludzie będą się litować nad Maksymilianem i podziwiać wiernego mu Mejię. O tym, jakie uczucia będą towarzyszyć panu, wołę nie mówić...

Po tej rozmowie nastrój Miramona pogorszył się jeszcze bardziej.

— Ten człowiek śmiał powiedzieć — mówił sam do siebie — że będę otoczony pogardą! Ach, gdybym był wolny! Kreatury Zapoteki nie tylko odnosiłyby się do mnie z szacunkiem, ale drżałyby ze strachu przede mną!

Był niezdolny do skruchy. Nawet spowiednikowi nie udało się skłonić go do niej.

Osiemnastego czerwca jedno z pism amerykańskich podało następującą wiadomość:

Maksymilian i jego najwybitniejsi generałowie  
zostaną zapewne w dniu jutrzejszym  
rozstrzelani.

Za granicą przestano się już łudzić, że można uratować jeńców. Zrozumiano, że każdy rząd ma prawo do uznania za zdrajców i przykładowego ukarania tych, którzy siłą i podstępem godzą w podwaliny państwa. Zasadą tą kierował się sąd, wydając wyrok śmierci. Miał być wykonany rankiem dziewiętnastego czerwca, na położonym we wschodniej części miasta Cerro de las Campanas.

W dniu egzekucji na placach, placzkach i uliczkach, przez które musieli przejeżdżać skazańcy, zebrały się tłumy ludzi: mężczyźni i kobiety z różnych warstw społecznych, żołnierze, vaquerzy konni i piesi, Indianie i biali, Murzyni, Metysi, Mulaci, terceroni, cuarteroni, Chińczycy. Cały ten różnorodny i różnobarwny tłum pragnął być świadkiem ostatnich chwil człowieka, który był cesarzem. Choć wielu spośród tych ludzi uważano za barbarzyńców, zachowywali się godnie i z powagą. Nie wykrzykiwali, a nawet nie rozmawiali głośno, uwagi przekazywali sobie szeptem. Rzecz można, że panowała tu atmosfera podobna do tej, jaką obserwuje się w kościołach czy na cmentarzach.

O siódmej wyprowadzono skazańców z więzienia. Dla każdego przeznaczony był powóz, strzeżony przez silną eskortę. W oddzielnym jechał biskup spowiednik. Niesiono również drewniane krzyże, pod którymi skazańcy mieli stanąć.

Na głównej ulicy tłum był tak gęsty, że powozy ledwo się mogły poruszać. Pochód otwierał szwadron ułanów, za nim szła orkiestra, grając żałobnego marsza, a po niej — eskorta; żołnierze maszerowali czwórkami, każdy z karabinem na plecach. Za powozami niesiono trzy trumny; każda spoczywała na barkach czterech Indian.

Kiedy kondukt dotarł do rynku, Mejia obrzucił tłum wyzywającym spojrzeniem i zawołał:

— Oto ostatnia droga najjaśniejszego pana! Patrzcie, jak umiera cesarz!

Na twarzy Maksymiliana malował się wyraz spokojnej rezygnacji i melancholii. Gdy powóz wyjeżdżał z rynku, cesarz zwrócił wzrok ku wschodowi. Tam, daleko, leży jego ojczyzna, tam zrodziły się jego marzenia o władzy i dostojeństwach. Zrealizował je. Czy warto było? Już nigdy nie zobaczy kraju, już nigdy nie spotka się z żoną...

Po przybyciu na miejsce kaźni żołnierze ustawili się w czworobok i zagrodzili drogę tłumowi. Escobedo, który osobiście kierował egzekucją, zbliżył się do powozów i polecił jeńcom wysiąść.

Kiedy cesarz stanął na ziemi, wyprostował się, rozejrzał wokoło i powiedział tak głośno, że słyszeli go wszyscy zgromadzeni na placu:

— Vamos nos a la libertad! Idziemy ku wolności! Potem wyciągnął zegarek i nacisnął sprężynę.

Koperta

odskoczyła, ukazując podobiznę cesarzowej Karoliny. Ucałował ją i podał spowiednikowi zegarek.

— Proszę przesłać tę pamiątkę do Europy — powiedział — i polecić, by ją przekazano mojej ukochanej żonie. Gdyby kiedyś odzyskała zmysły, niech się dowie, że zszedłem z tego świata z jej obrazem w oczach.

Śmiałym i pewnym krokiem podszedł do drewnianego krzyża. Tak samo Mejia. Natomiast Miramon szedł chwiejnie, ociągając się, i zdawał się błagać wzrokiem o ratunek.

Odczytano wyrok śmierci, po czym pozwolono skazańcom na ostatnie słowo.

— Umieram za słuszną sprawę! — rozlegnie się spokojny i donośny głos cesarza. — Za wolność i niezależność Meksyku! Oby krew moja odwróciła na zawsze nieszczęścia od mego kraju. Niech żyje Meksyk!

Miramon wyjąkał parę niezrozumiałych słów. Mejia zaś dał znak ruchem ręki, że rezygnuje z tej łaski.

Na rozkaz Escobeda piętnastu żołnierzy i dwóch podoficerów wyszło z czworoboku i ustawiło się w przepisowej odległości przed skazańcami. Był to pluton egzekucyjny. Cesarz skinął na jednego z podoficerów, a gdy ten zbliżył się do niego, wyjął garść złotych monet i powiedział:

— Dajcie to po mojej śmierci żołnierzom. Niech strzelają celnie. Prosto w serce.

Kiedy sierżant odszedł, Maksymilian objął i uściskał Meję. Generał odwzajemnił uścisk.

— Najjaśniejszy panie... Zawsze... — dalszych słów wiernego generała nikt nie usłyszał; były przeznaczone tylko dla cesarza.

Do Maksymiliana podszedł biskup.

— Najjaśniejszy panie, złoż na moim czole pocałunek zapomnienia. Niech będzie dowodem, że przebaczyłeś swemu ludowi!

Cesarz zrozumiał intencje kapłana. Ucałowawszy go, rzekł głośno:

— Powiedzcie Lopezowi, że przebaczam mu zdradę! Scena ta poruszyła większość obecnych.

Tylko twarz

Escobeda była w dalszym ciągu nieprzenikniona jak kamienna maska. Maksymilian zwrócił się do niego:

— Jestem do pańskiej dyspozycji. Generał skinął głową i rozkazał:

— Adelante! Naprzód!

Żołnierze podnieśli karabiny. Generał wyjął z pochwy szablę i uniósł ją wysoko. Huknęła salwa. A wraz z nią rozległy się dźwięki rogów i bębnów wojskowej orkiestry.

— Libertad y independencia! Wolność i niepodległość! — dało się słyszeć zewsząd.

I tak oto rozstał się ze światem Maksymilian Austriacki, cesarz Meksyku.

# EPILOG

W czasie egzekucji cesarza Kurt Unger siedział w namiocie w towarzystwie Małego André. Nie chciał i nie mógł być świadkiem śmierci człowieka, którego tak bardzo pragnął uratować.

Nasłuchiwali. Kiedy do ich uszu doszedł odgłos salwy i werbli, Mały André krzyknął:

— Już po wszystkim!

— Tak — westchnął Kurt. — To finał. Ale faktycznie Maksymilian umarł już wtedy, gdy odrzucił moją pomoc... Pragnął śmierci.

— Czy nie można go było uprowadzić z więzienia?

— Ja w każdym razie nie mogłem. Musiałem być lojalny wobec Juareza.

— Nie rozumiem! A gdyby go pan wyprowadził z miasta, nim wpadł w ręce republikanów?

— To co innego. Był wtedy wśród swoich. Moja pomoc w jego ucieczce nie byłaby zatem uważana za przestępstwo wobec prawa republiki.

— Hm. Może ma pan rację.

— Ani pan, ani ja nie mamy więc sobie nic do wyrzucenia. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Teraz możemy opuścić Queretaro.

— Bez pożegnania, bez prośby o urlop?

— A kogo mamy prosić? Nie jesteśmy żołnierzami Escobeda.

— Dokąd się udamy?

— Do Juareza. Niech pan pojedzie do doktora Sternaua. Proszę go uprzedzić, aby na mnie czekał.

Następnego ranka Sternau, Kurt, Mały André oraz obaj wodzowie indiańscy jechali konno do San Luis Potosi.

Gdy mijali Guanajuato, Mały André zatrzymał konia.

— Patrzcie, panowie! Czy poznajecie? — wskazał na osiodłanego konia, stojącego przed ventą.

— Nie do wiary! To wierzchowiec Czarnego Gerarda — zdumiał się Sternau. — Chodźmy do środka!

Gerard już ich zauważył i wyszedł przed dom.

— Jakże się cieszę! — zawołał. — Właśnie jechałem na poszukiwanie was.

Kiedy zasiedli w oberży, opowiedział im szczegółowo o ucieczce Landoli i Gasparina Corteja oraz o wydarzeniach, które rozegrały się nad Czarcim Źródłem. Sternau był z tej nowiny bardzo niezadowolony. Obecność Landoli i Corteja bez wątpienia ułatwiłaby proces przeciwko wrogom rodu Rodrigandów. Cóż można było jednak poradzić?

Po odpoczynku ruszyli w drogę razem z Gerardem. Natychmiast po przyjeździe do Potosi Sternau zameldował się u Juareza. Prezydent i tym razem przyjął go od razu. Po serdecznym powitaniu powiedział:

— Odgaduję, co pana do mnie sprowadza. Chodzi o rodzinę Rodrigandów, prawda?

— Tak. Sądzę, że nadszedł już czas, aby do końca wyjaśnić tę sprawę. Winnych należy postawić przed sądem i ukarać, a tym, którzy tyle wycierpieli przez tak długie lata, dać pełną satysfakcję.

— Zgadza się z panem. Jeszcze dzisiaj wydam odpowiednie rozkazy.

— Rozprawę sądową trzeba przygotować bardzo starannie. Nie wszystkich złoczyńców ujęliśmy. Na przykład pozostaje na wolności pseudohrabia Alfonso. Mieszka on w Hiszpanii. Gdyby wiadomość o procesie dotarła do niego, mógłby zbiec wraz ze swymi poplecznikami.

— Racja. Będziemy więc ostrożni i przeprowadzimy całą sprawę przy drzwiach zamkniętych. Na wszelki wypadek zwrócę się do władz hiszpańskich z prośbą o wzięcie Alfonsa pod tajny nadzór policyjny. Zadowolona to pana?

— W zupełności.

— Na przetransportowanie więźniów z klasztoru delia Barbara do stolicy otrzymacie dostateczną liczbę żołnierzy. Kiedy chcecie stąd odjechać?

— Jutro rano. Do tego czasu konie wypoczną, ja zaś będę mógł omówić szczegóły wyprawy z Piorunowym Grotem i Sępiem Dziobem.

— A więc życzę powodzenia.

Posłuchanie było skończone. Sternau i jego towarzysze udali się teraz do lorda Drydena. Po naradzie postanowiono, że ze względu na obecność w hacjendzie del Erina Emmy, Rezedilli i Karii pojedą tam Piorunowy Grot, Gerard i Niedźwiedzie Serce. Jeszcze tego wieczora spotkali się z senioritą Emilią, przebywającą, jak się okazało, w Potosi. Powitanie, a jednocześnie pożegnanie upłynęło w miłej atmosferze. Rankiem, jak ustalił Sternau, wszyscy rozjechali się.

W jakiś czas później odbył się uroczysty wjazd prezydenta Juareza do stolicy. Ludność przyjmowała go z entuzjazmem. Witła w Zapotece człowieka, który dzięki żelaznej wytrwałości i odwadze z wygnańca stał się znów władcą kraju. Wszystkie domy przystrojono kwiatami i chorągwiami. Wiwatom nie było końca.

Już jednak następnego dnia entuzjazm zmienił się w trwożne wyczekiwanie. Juarez zaczął wymierzać sprawiedliwość. Aresztowano i przesłuchiowano tych, którzy współpracowali z okupantami. Na wielu ludzi padł strach i trwoga. Niektórzy, mając nieczyste sumienie, szukali ratunku w ucieczce. Juarez nie stosował terroru. Nie mścił się, nie powodował osobistymi uczuciami, lecz wyłącznie względami obiektywnymi. W tych jednak przypadkach, w których zbyt łagodność mogła źle wpłynąć na sprawy ogólne, okazywał się nieubłagany i karał z całą bezwzględnością. Działał bardzo energicznie, toteż w krótkim czasie państwo zaczęło funkcjonować normalnie i cieszyć się uznaniem w oczach świata. Z czasem nawet te kraje, które przedtem popierały Maksymiliana, zaakceptowały Juareza jako prawowitego władcę Meksyku.

Był późny wieczór. Mieszkańcy stolicy spali. Od północy zbliżała się grupka jeźdźców. W jasnym świetle księżyca można było rozpoznać, że eskortują jeńca przywiązanego do muła oraz lektykę umocowaną do grzbietów dwóch wierzchowców. Rozlegały się z niej bez przerwy jakieś jęki. Eskorta nie zwracała na nie uwagi.

Oddział dotarł do miasta, minął kilka ulic i zatrzymał się przed siedzibą rządu. Jeźdźcy zeskoczyli z koni. Jeden z nich wszedł do budynku. Na pytanie wartownika, czego sobie życzy, odparł:

— Chciałbym widzieć się z prezydentem. Czy jeszcze nie śpi?

— Nie. Pracuje zwykle do świtu.

— Proszę mnie zameldować. Nazywam się Sternau.

— Nie wolno mi teraz meldować nikogo. Prezydent rozkazał, by mu nie przeszkadzano. Proszę przyjść w dzień.

— Odkąd to wartownik wyznacza audiencję? Jeszcze raz proszę, byście mnie zameldowali.

Stanowczy ton sprawił, że wartownik wykonał polecenie. Wkrótce wrócił jak niepyszny.

— Prezydent prosi seniora — powiedział uniożonym tonem.

Wszedłszy do Juareza, Sternau zaczął go przeproszać, że zjawia się o tak późnej porze, ale prezydent mu przerwał.

— Nareszcie! — zawołał. — Od dawna czekam na was!

— Nie mogliśmy przybyć wcześniej, senior. Musieliśmy czekać na tych z hacjendy. Tymczasem Josefa Cortejo zachorowała i niepodobna jej było transportować. Wiadomo panu zapewne, że kiedy przebywała w hacjendzie del Erina, jeden z vaquerów poturbował ją dotkliwie, mszcząc się za

krzywdy Arbelleza. W dodatku leczono ją niewłaściwie.

— Ale teraz jest zdrowa?

— Nie. I już nigdy nie wyzdrowieje. Niemal cudem udało mi się doprowadzić ją do takiego stanu, że można ją było tutaj sprowadzić. Zastosowałem silne środki antybólowe, ale mimo to jęczy i stęka bez przerwy. I to nie jest symulacja. Myślę, że umrze wkrótce.

Juarez pokiwał głową.

— Sam Bóg ją ukarał, zanim jeszcze otworzyły się księgi praw. Nie ulega wątpliwości, że istnieje sprawiedliwość, działająca bardziej niezawodnie niż nasza. Czy przesłuchał pan jeńców, senior Sternau? Wyznali coś?

— Niestety, nic.

— Spodziewałem się tego. Dobrze, że swego czasu przejęliśmy list, który z hacjendy del Erina Josefa pisała do ojca. To bądź co bądź ważny dowód winy.

— Myślę, że właśnie Josefa zacznę mówić. Przeszanę jej dawać leki uśmierzające, a wtedy nie wytrzyma i wyzna wszystko.

— Jako człowiek współczuję tej dziewczynie. Jako sędzia muszę przyznać, że zasłużyła na swój los. Spodziewam się, że wszyscy zamieszkacie u mnie, senior Sternau. Corteja i jego córkę zamkniemy w jednym z pomieszczeń pod ścisłą strażą. A pan i pańscy towarzysze czujcie się moimi gośćmi. Zaraz przygotują wam coś do jedzenia i pokoje do spania. Natychmiast przekazuję polecenia adiutantowi. Dobranoc, senior.

Do przesłuchań Cortejów przystąpiono już od wczesnego rana. Wszelkie wysiłki wydobywania z nich prawdy okazały się daremne. Ojciec i córka zaprzeczali wszystkiemu zuchwałym tonem, mimo iż przedstawiono mnóstwo obciążających ich dowodów. Gdy sędzia pokazał oskarżonemu list, pisany przed laty do rzekomego Alfonsa jako bratanka, Pablo bezczelnie oświadczył, że jest to falsyfikat, sfabrykowany przez wrogów pragnących go pogrążyć. Słowa te oburzyły najbardziej siostrę Bawolego Czoła, Karię, która — jak pamiętamy — list ten zabrała swego czasu fałszywemu hrabiemu w hacjendzie del Erina. Schowała go wtedy w bezpiecznym miejscu, nie myślała o nim jednak przez wiele lat. Kiedy Niedźwiedzie Serce zjawił się w hacjendzie, aby ją zawieźć do stolicy, przypomniała sobie o tym ważnym dokumencie i znalazła go tam, gdzie ukryła.

Choć pierwsze przesłuchanie nie przyniosło rezultatu, najbliższe godziny dowiodły, że przypuszczenia Sternaua były słuszne. Bóle Josefy nasiliły się. Chwilami, nie mogąc znieść męki, wyła jak dzikie zwierzę. Za radą Sternaua wprowadzono Corteja do celi córki.

Był złym i bezwzględny człowiekiem, ale niesamowite jęki Josefy przybiły go bardzo. Zdawał sobie sprawę, że pozostało jej niewiele życia i że cierpi i umiera przez niego. Wezwany pośpiesznie ksiądz postanowił wykorzystać ten nastrój. Nakłaniał oskarżonych, aby wyznali prawdę dla uratowania duszy i oczyszczenia sumienia. Josefa zaczęła wołać omdlewającym głosem, że chce przyznać się do winy. Cortejo po chwili wahania poszedł w jej ślady. W celi zjawił się sam Juarez w otoczeniu wszystkich świadków. Zeznania oskarżonych zaprotokołowano i — zgodnie z wymogami ustawy — podpisali je świadkowie.

W tej fazie przesłuchania poruszono również sprawę drugiego testamentu, sporządzonego przez hrabiego Fernanda, a ukrytego przez Josefę. Dziewczyna oświadczyła, że testament istnieje, i wskazała, gdzie się znajduje. Juarez kazał natychmiast wysłać tam gońca. Wkrótce jeszcze jeden koronny dowód przeciwko Cortejom znalazł się w rękach sędziów.

W kilka godzin później Josefa zmarła.

Pewnej nocy na drodze prowadzącej do Veracruz, którą zwykle jeździł dylizans pocztowy, pojawił się oddział konnych, eskortujący kilka powozów. Następnego dnia wścibscy sąsiedzi zamku



Rodrigandów spostrzegli, że jest w nim więcej mieszkańców niż dotychczas. Nie mogli się jednak dowiedzieć, kim są przybyłe wczoraj osoby, tym bardziej że prawie nie pokazywały się na dziedzińcu i w ogrodzie.

Wkrótce rozeszła się wiadomość, że wyrok na Pablu Corteju został wykonany: rozstrzelano go na podwórzu więziennym. W tym samym mniej więcej czasie zmarł w straszliwych męczarniach doktor Hilario. Tak więc sprawiedliwości stało się zadość: zbrodniarze zostali ukarani.

A jakie były dalsze losy znanych osobistości, z którymi zetknęli się bohaterowie opowieści o rodzie Rodrigandów?

Benito Juarez piastował godność prezydenta aż do dnia śmierci, to znaczy do osiemnastego lipca 1872 roku. Zmarł mając sześćdziesiąt sześć lat. W kilka lat potem władza przeszła w ręce jednego z najdzielniejszych jego generałów, Porfiria Diaza.

Jak przedtem Zapoteka, tak i Diaz energicznie i pomyślnie kierował Meksykiem, nękanym ustawicznymi wojnami domowymi. Był prezydentem od roku 1877 do 1880 i od 1884 do 1911. Cieszył się poważaniem we wszystkich krajach. Większość obywateli Meksyku podziwiała go i szanowała, miał jednak opozycję. W roku 1911 przeszło osiemdziesięcioletni starzec musiał ustąpić. Skazano go na banicję. Zmarł z dala od ojczyzny, w Paryżu, drugiego lipca 1915 roku, przeżywszy osiemdziesiąt pięć lat.

Ambitny intrygant generał Basaine skończył haniebnie. Po wojnie francusko-pruskiej wytoczono mu proces o zdradę stanu, zarzucając, że z tchórzostwa i nienawiści do Mac Mahona nie zorganizował wypadu ze Strassburga dla odciążenia Sedanu i że dał się przekupić Niemcom. Dziesiątego grudnia 1873 roku skazano go na karę śmierci. Dzięki bogatej żonie, Kreolce, którą przywiózł z Meksyku, udało mu się jednak zbiec. Wkrótce potem żona go opuściła. Siedemdziesięciosiedmioletni starzec zmarł w nędzy dwudziestego trzeciego września 1888 roku w Madrycie.

Żona Maksymiliana cesarzowa Karolina była, jak to się zwykło mówić, postacią kontrowersyjną. Jedni wynosili ją pod niebiosa, inni twierdzili, że to jej chciwość skłoniła Maksymiliana do przyjęcia korony Meksyku. Żyła długo. Wyleczono ją z obłędu tuż przed śmiercią. Ostatni list męża, który odczytano staruszce po kilkudziesięciu latach, skrócił jej życie. Zmarła w 1926 roku. Ostatnie lata spędziła pod Brukselą.

Kapitan von Rodenstein siedział w swej kancelarii w starym fotelu i ponuro patrzył przed siebie. Na nogach miał grube filcowe buty sięgające do kolan. Okryty był podwójnie złożoną derką. Przed nim stał wierny Ludwik i z zakłopotaniem patrzył na swego pana.

— Nic nie mogę poradzić — powiedział. — Nie znam żadnego środka, panie kapitanie.

— Jesteś tak samo głupi czy tak samo mądry jak lekarze! Eskulapi mnie dręczyli, hydropaci zniszczyli, a homeopaci doprowadzają do obłędu. Na ostry reumatyzm zapisują akonitynę, arnikę, belladonnę, lorykninę, chininę, chamomillę, rtęć, strychnos nux vomica, pulsatillę, a przeciw chronicznemu ischiasowi zalecają arszenik, siarkę, rododendron, fitolakkę i macierzankę. Aby wyleczyć mnie z łamania kości, każą brać arnikę, pulsatillę, belladonnę, piżmo, jałowiec, siarkę i tatarak. Gdybym się ich słuchał, już dawno stałbym się workiem ziół, proszków i pigułek! Niech diabli porwą takich medyków! Znam inne lekarstwo... Jedyne. Pamiętasz ten list? Z radości podskoczyłem do góry i poczułem się jak ryba w wodzie. Gdyby teraz... Cicho! Czy to ktoś puka, Ludwiku?

— Tak, panie kapitanie.

Ludwik otworzył. Listonosz wręczył depeszę. Starzec przeczytał ją kilka razy i zawołał:

— Hura, hura! Ludwiku! Ośle kwadratowy! Stary bałwanie! Zdejmij mi te filcowe buty!

Zerwał się gwałtownie i zaczął się mocować z nieszczęsnymi butami. Ludwik patrzył ze zdumieniem.

— Ależ, panie kapitanie! Pana bóle...

— Bóle? Androny! Nic mnie nie boli! Zdrow jestem! Reumatyzm diabli wzięli! Wiesz, co było w telegramie? Wszyscy przyjeżdżają, wszyscy! Będą tu jutro! Hura!

Wiwat! Zostawiłem swój reumatyzm w butach! Popatrz, jak się żwawo ruszam!

Rzeczywiście przeszedł się po pokoju wcale dziarsko. Po chwili dodał:

— Idę do Rodrigandów! Muszę im pokazać ten telegram!

— Czy aby pan kapitan da radę dojść do willi i wrócić? — zaniepokoił się Ludwik.

Starzec nie raczył odpowiedzieć. Szybko zszedł po schodach i pomaszerował przez las.

Mieszkańcy willi byli już poinformowani o wszystkim, co zaszło w Meksyku. Niedawno przyszła też wiadomość od Sternaua z Hiszpanii, że fałszywy Alfonso siedzi wraz ze swoją matką Clarisą w więzieniu. Pleban pewnej pirenejskiej wioski złożył obciążające ich zeznania.

Przed dziewiętnastu laty, tuż przed ważną i brzemienną w skutki rozmową z Gasparinem Cortejem, zjawił się u plebana przywódca rozbójników i wręczył zapieczętowany list, prosząc, aby go otworzył, o ile on sam nie wróci w określonym terminie. Gdy termin minął (wiemy dobrze, dlaczego bandyta nie powrócił), ksiądz odpieczętował dokument. List zawierał pisemne wyznanie Gasparina, wymuszone przez porywacza. Pełnomocnik hrabiego Rodrigandy stwierdzał i poświadczał to własnym podpisem, że to on kazał porwać małego hrabiego Alfonsa.

Duchowny przeraził się. Zasięgnąwszy informacji, dowiedział się, co zaszło u Rodrigandów. Co miał jednak robić? Zdawał sobie sprawę, że jego zeznania, a nawet posiadany dokument nie wystarczą do zdemaskowania zbrodniarza. Ponadto do kogo miał się zwrócić? Hrabianka Roseta była umyślowo chora, a hrabiego Manuela uważano za zmarłego. Z biegiem czasu zaczęły się rozchodzić pogłoski, że hrabia Manuel żyje, że wyjechał do Niemiec i nie wnosi pretensji do zamku i włości Rodrigandów. To w zupełności zbiło kapłana z tropu. Jeśli hrabia nie troszczy się o swoją własność, na jakiejże podstawie może czuwać nad nią wiejski proboszcz? Tak tedy przez dziewiętnaście lat pleban nie wspominał nikomu o dokumencie, który wręczył mu rozbójnik. Dopiero gdy Sternau i Mariano przybyli do Hiszpanii i wnieśli do sądu skargę przeciw Alfonsowi, uznał za swój obowiązek poprzeć ich sprawę. Zeznanie jego oraz pismo Gasparina zaprotokołowano. Dołączono do tego oświadczenie żebraka Tito Sertana, złożone na łożu śmierci wobec Mariana. W świetle tych faktów dla sądu było oczywiste, że Mariano jest prawdziwym Rodrigandą, Alfonso zaś oszustem. Nic już nie stało na przeszkodzie, aby uznać Mariana za prawowitego syna hrabiego Manuela. Clarisę i jej syna, rzekomego Alfonsa, skazano na karę dożywotniego więzienia.

Do wiadomości tych Sternau dołączył uwagę, że nie jest wykluczone, iż w ciągu dwóch tygodni pojawi się w kraju wraz z towarzyszami. Trudno opisać radość mieszkańców Reinswalden. Gdy więc kapitan von Rodenstein przyniósł im telegram, zaczęto gorączkowo przygotowywać się na przyjęcie drogich, utęsknionych gości. Całą noc nikt nie zmrużył oka.

Z nastaniem dnia, gdy już nic nie było do roboty, nie mogli usiedzieć na miejscu. Jedni biegali po całym domu, drudzy siedzieli w oknach, popatrując na drogę. Godziny wlokły się w nieskończoność. Już tracili nadzieję...

Pod wieczór rozległ się turkot kół. Nareszcie! Rozłączeni na wiele, wiele lat, padli sobie w objęcia.

Cały dom rozbrzmiewał radosnymi okrzykami. Łzy mieszały się ze śmiechem.

W jednym z pokoiów siedzieli don Manuel, don Fernando, sir Henry Dryden i rozmawiali o szczęściu swych dzieci. Obok stał Sternau z Rosetą i Mariano z Amy. Nie brakowało również matki i

siostry Sternaua.

— Gdzie nasza córka? — spytał Sternau żonę.

Już stęsknił się za Różyczką, choć zaledwie przed kwadransiem wyściskali się długo i gorąco. Dziewczyna, wzruszona i przejęta spotkaniem z ojcem, wymknęła się do siebie, aby tam wypłakać się bez świadków. Nie zauważyła, że ktoś idzie za nią na górę. Weszła do pokoju. Po chwili ktoś zapukał do drzwi. Kiedy otworzyła, stał w nich Kurt Unger.

— Kurcie! Drogi, kochany Kurcie! Padła mu w ramiona.

— Jakże jestem szczęśliwy, że widzę twoje kochane oczy, najdroższa! — szepnął, odrywając się od jej ust.

— I ja, i ja także!

— Różyczko!

Oboje zamarli z przerażenia. Był to głos Rosety. Zajęci sobą nie zauważyli ani jej, ani Sternaua, którzy idąc do córki stali się mimowolnymi świadkami tej sceny.

— Głowy do góry, moje dzieci! — roześmiał się doktor. Pogładził Różyczkę po policzku, a potem włożył jej małą, drżącą rączkę w dłoń Kurta i chwilę przytrzymał. — Kurcie, oto nagroda, która ci się w pełni należy! Weź ją sobie i bądźcie szczęśliwi! A teraz chodźmy wszyscy do twoich rodziców, chłopcze! Niech się dowiedzą o radosnej nowinie!

Ludwik Straubenberger stał obok fotela kapitana Rodensteina i składał mu relację z przyjazdu Sternaua i jego przyjaciół. Stary posłał go do willi, bo sam nie czuł się na siłach tam pójść. Nagle ktoś dotknął ramienia Ludwika. Odwrócił się i ujrzał nie znanego sobie mężczyznę.

— Ludwik Straubenberger? Nie poznajesz mnie? Pokręcił głową.

— Chyba już kiedyś widziałem pana, ale nie wiem gdzie. Nie mogę sobie przypomnieć.

— Pomogę ci. Jestem twoim bratem. Nazywam się Andreas Straubenberger.

Ludwik znieruchomiał.

— Co? Co...? — wyjąkał.

— No tak! Na pewno! Sępi Dziób tyle opowiadał mi przy kieliszku o tobie, że postanowiłem cię odszukać. Ale moim domem jest preria i lasy. Wrócę tam, pierwszej jednak nacieszę się tobą.

Padli sobie w objęcia.

Na kolacji w willi Rodrigandów zgromadzili się wszyscy. Było wesoło i radośnie. A kiedy Sternau ogłosił zaręczyny Różyczki z Kurtem Ungerem, atmosfera jeszcze bardziej stała się podniosła. Ci ludzie, którzy tyle przeszli, wreszcie czuli się szczęśliwi i było im dobrze ze sobą. Dopiero gdy słońce weszło, zaczęli się rozchodzić na spoczynek.

Nastrój świąteczny nie mógł jednak trwać wiecznie. Życie powoli wracało do normy.

Hrabia Fernando postanowił nie rozstawać się z bratem. Sprzedał swoje dobra w Meksyku i pozostał z Manuelem w willi Rodrigandów. Młody hrabia Mariano zamieszkał z Amy na zamku w Hiszpanii, odwiedzał jednak często rodzinę w Niemczech. Mindrello został za swe usługi hojnie nagrodzony i mianowano go zarządcą zamku Rodrigandów. Przeżył długie lata w szczęściu i spokoju.

Sternau nie uprawiał już swego zawodu. Żył spokojnie u boku Rosety, ciesząc się szczęściem Kurta i Różyczki.

Alimpo mieszkał z Elvirą u hrabiego Manuela. Stary leśniczy zaś jeszcze długo nękał wiernego Ludwika swoją podagrą.

Pedro Arbellez wraz z Emmą i jej mężem Antonim Ungerem — Piorunowym Grotem pozostali w hacjendzie del Erina. Zamieszkał u nich Mały André. Rozkochany w prerii, nie umiał, nie mógł i nie chciał zapomnieć awanturniczych przygód. Piorunowy Grot podobnie. Często wskakiwali na mustangi i urządzali dalekie wyprawy. W wigwamach czerwonoskórych i namiotach traperów długo

jeszcze wielbiono imię Piorunowego Grota i opowiadano o jego dzielnych wyczynach.

Czarny Gerard zamieszkał z Rezedillą i starym Pirnerem w Guadalupe. Odwiedzali ich często Sępi Dziób i Grandeprise. Bawole Czoło polował jeszcze wiele lat na bawoły i niedźwiedzie; od czasu do czasu zjawiał się u swych przyjaciół. Niedźwiedzie Serce wywiózł Karię do siedzib Apaczów jako swoją squaw. Lecz i on nie mógł spokojnie usiedzieć w wigwamie. Dużo podróżował, a na szlakach swoich wędrówek spotykał dawnych towarzyszy doli i niedoli.

Przygotowano na podstawie [bookini.pl](http://bookini.pl)